

241443





- 1) Roy Fellet. Kroya may Letying.
- 2) Koloman Mikorath 7 Joseph 21 Klatce  
1) Lapa<sup>1</sup> <sup>(munda 12)</sup> <sup>at my busman</sup>  
(munda 8 1/2)
- 3) Cranford Marion, Sant' Florio





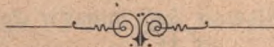
KOLOMAN MIKSZATH



# GOLĄBK I W KLATCE

*przekład z węgierskiego*

A. CALLIEROWEJ



WARSZAWA.

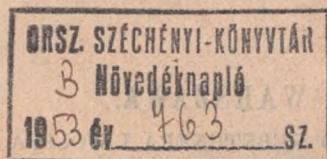
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

—

1893.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 22 Декабря 1892 года.





## WSTĘP.

**N**iegdyś, przed jakeimi dziesięciu laty może, pisywałem nowelle w ten sposób, że z dwu lub trzech tematów łątałem całość jednej opowieści. Jeden temat — ponieważ był za krótki — sztukowało się drugim, nawiązywało do niego — i tym sposobem powstawała dostatecznie „długa“ historia.

Z wiekiem wysycha źródło twórczości. Dziś mam *jeden* tylko temat i chcę z niego wysnuć *dwie* nowelle.

Z pomocą Muzy, może się to i uda. A może i bez jej pomocy. Bo i Muza dziś już jest nieco podstarzałą jejmością, która wprawdzie niegdyś rządziła światem, ale dziś, ustąpiwszy z areny, założyła sobie wcale niepokazny nawet magazyn strojów. Niegdyś była natchnieniem poetów, dziś, w wieku sztucznych kwiatów, co najwyżej jest jeszcze w stanie wywołać cokolwiek zapachu tualetami kobiet. Zmieniła też całkiem urządzenie swego gospodarstwa. Uroczej pokojowej Fantazyi dała odprawę, a natomiast trzyma dziś tylko mrukliwą, szorstkiego obejścia sługę: Obserwacyę.



Mimo to wszystko przecież, w pierwszym opowiadaniu Muza będzie mogła oddać mi pewne usługi, w drugim natomiast byłaby mi tylko zawadą.

Z tego, com tu powiedział, wniesć mogą szanowni czytelnicy, że podejmuję się rzeczy niezwyklej, odrębnej zupełnie; że zamierzam nakreślić obraz podobny do owych sztuczek, które kursują wszędy po świecie. Przypatrując się takiemu obrazowi *en face*, widzimy w nim doskonale podobny wizerunek Garibaldiego, skoro mu jednak przyjrzymy się z profilu, poznamy rysy Ojca świętego, Piusa. Dwie twarze w jednym obrazie. Każdą z osobna należy brać poważnie całkiem, razem zestawione wszakże wywołują efekt dziwaczny.

Z przedmowy tej wynika, że śmiało postawić mogłem tytuł: „Gołąbki w klatce, opowiadanie humorystyczne”—a przecież, czytelniku, otrzymasz niemniej dwie możliwie poważne historie.

## PIERWSZA NOWELLA.

---

Niegdyś (przed czterystu mniej więcej laty), żył w Weronie uczciwy, dobroduszny człowiek, Balduin Gerwazius, który miał szczególne do kwiatów zamiłowanie. Była to jedyna jego namiętność. Zamawiał sobie tulipany z Hollandyi, róże z Turcyi, i szczęśliw był tą wiarą, że posiada najpiękniejszy ogród w świecie.

Szczęście to jego wszakże zamącił mu pewien sąsiad, stary Ryszard, któremu pewnego dnia pokazywał kwiatowe swe skarby i zbiory rzadkich roślin.

— Jak ci się zdaje: czy raj mógł być piękniejszym?—spytał go dumny ze swej posiadłości Balduin.

— Czy raj był piękniejszym, tego nie wiem, bom go nie widział. Po dziś dzień bowiem jeszcze tam mnie nie wyekspedyowałeś.

(Trzeba wiedzieć, że Balduin należał do korporacyi lekarzy).

— Daremniebym cię tam i wysyłał,—odpowiedział mu Balduin z uśmiechem,—dzięki zawodowi twemu bowiem, z pewnością tamby ciebie nie przyjęto.

(Ryszard mianowicie był najsłynniejszym adwokatem w Weronie).

— Być może; co do róż twoich jednak, to ci powiem, że widział już piękniejsze.

Balduin aż w górę skoczył.



— A gdzież to?

— W Neapolu. W ogrodzie jednego z tamtejszych moich znajomych.

— Jakże się nazywa ten szczęśliwiec?

— Albert Marosini.

— U Alberta? Ależ to mój serdeczny przyjaciel!

— Znasz go więc?

— Niel! Nie widziałem go nigdy. Ale napisał on książkę o kwiatach, ja uczyniłem był to samo. Od tego czasu zawiązała się między nami korespondeneya, i jesteśmy z sobą w najczulszej przyjaźni.

Przed czterystu laty bywały jeszcze tego rodzaju przyjaźnie. Balduin postanowił za jakąbądź cenę postarać się o szczep tak wielce sławionych róż i wkrótce po tej rozmowie wybrał się w podróż celem odwiedzenia Alberta.

Albert przyjął nieznanego sobie kwiatowego kolegę z największą serdecznością i przyjacielskiem wylaniem. (Kronika przynajmniej opisuje wielce szeroko i długo niezmiernie gościnne przyjęcie). Wonne ambry kąpiele czekały tam przybysza. Pod ciężarem wspaniałych potraw uginały się stoły. Albert oprowadzał go po całym swym dobytku, pokazywał swe okręty, które krążyły po morzach, a których dwanaście było jego własnością. Nakoniec ukazał oczom gościa cuda swego wspaniałego ogrodu, a kiedy Balduin powiedział mu, że właściwie przybył w tym celu, aby otrzymać od niego szczepy róż, Albert odrzekł dobroduszenie:

— Ale po cóż szczepy? Najpiękniejszą z róż, które posiadam, oddam ci z całym krzakiem, z korzeniami. Róża rzadka tem jest piękniejszą, gdy jest unikatem. To też, gdy dom mój będziesz opuszczał, (co daj Boże, by jak najpóźniej nastąpiło), wybierzesz sobie taki unikat z pośród moich róż, który ci się najwięcej spodoba.

Balduin ani myślał tak prędko opuszczać wspaniałego domu Alberta. A była to rezydencya okazała, wyposażona z niezmiernym przepychem. W piwnicach prócz tego stały beczki starego,



najwyborniejszego cypryjskiego wina, nektaru iście godnego bogów.

— Zamożnym musisz być, Albercie.

— Jestem bogaty, mój przyjacielu. Możesz tedy mówić otwarcie, jeśli tylko masz jakie życzenie.

Obadwaj młodzi przyjaciele—żaden z nich bowiem nie miał więcej nad lat dwadzieścia pięć—żyli wonią róż i sokiem cypryjskim odurzeni, w słodkiem marzeniu.

Albert był średniego wzrostu młodzieńcem, o twarzy łagodnej i śmiejących się oczach błękitnych. Balduin natomiast z postaci był atletą, z głową osadzoną na byczym karku. Obadwaj wszakże byli dobroduszni i łagodni z natury choć przyłóż do rany.

Albert, zdało się, że nie ma przed Balduinem tajemnicy. Wszędzie go oprowadzał, pokazywał mu wszystko: bogate swe komnaty, pełne gumna, kasę i papiery, nie wprowadził go tylko do maleńkiego domku, położonego w najodleglejszym końcu uroczego ogrodu, ukrytego pośród drzew pomarańczowych, osnutego bluszczem, który dokoła niego tworzył mur gęsty. Ilekroć wietrzyk o mur ten uderzył, zdało się, że tysiączne dzwonki kwiatów dźwięcznymi tony zadawały pytanie: „Co też tam ukrywają? Co też może być w tym domku?”

Raz, podczas przechadzki po ogrodzie, spytał Balduin:

— Co też chowasz tam w tej klatce?

Bo domek ogrodowy strukturą swą rzeczywiście przypominał ptasią klatkę.

Albert zaśmiał się głośno.

— Tak, to tajemnica. Tam ja sam nigdy nie wchodzę. W tej klatce, mój przyjacielu, jest gołąbka. Ale nie mówmy już o tem nigdy!

I Balduin nie wspominał już o tem więcej, nie mógł wszakże obronić się pokusie myślenia o tym przedmiocie, i skoro którego ranka zbudził się wcześniej od przyjaciela, wychodził na przechadzkę, zazwyczaj obierając drogę w kierunku ogrodowego dom-

ku. Tam w gęstwinie więcej, niż gdzie indziej świegotało ptaków, więcej chrabąszczy brzęczało pod krzakami narcyzów.

Raz spotkał tutaj starego ogrodnika Gwidona.

— Czekam tu na pana właśnie,—rzekł ogrodnik.

— Czego sobie życzysz, mój człowieku?

— Mój wnuk wywichnął sobie nogę,—odrzekł Gwidon,—a ponieważ pan jesteś lekarzem, może zechciałbyś mu dopomóc.

Doktor udał się do mieszkania ogrodnika, leżącego poza owym domkiem ogrodowym, który tak przypominał klatkę. Tam leżąc na łóżku, jęczał i krzyczał dziewięcioletni chłopiec. Dokoła otaczała go cała gromada bab. Jedna z nich obrabiała właśnie zwichniętą nogę, mruczając, wedle ówczesnego obyczaju, wszelakie czarodziejskie formułki.

— Pan nasz Jezus Chrystus jechał po kamiennym moście, miejscu jego cierpień, a noga jego osła zsunęła się ze skały; drogą szedł Piotr święty i obmacał ją świętą swą dłonią...

Przy tych słowach starowina dotknęła bolesnego miejsca nogi...

— O Jezu, Jezu!—ryknął chłopak, drugą, zdrową nogą wywijając na prawo i lewo w powietrzu.

Baba jednakże nie dawała za wygraną, dalej prowadząc swe rzemiosło.

...i chuchnął świętymi swemi usty na nią...

Tu poczęła dmuchać na obolałe miejsce—i mówiła dalej:

— Kość do kości, ciało do ciała, krew do krwi! O Jezu Nazareński uzdrów nogę tego chłopca!

Balduin rozgniewany rozpedził zgraję starych czarownic:

— Pan nasz Jezus Chrystus nie ma czasu zajmować się takimi rzeczami, ja tu za niego dokończę tej roboty!

W ciągu kilku minut nastawił nogę w staw napowrót, natarł ją maścią i obandażował, poczem stary Gwidon począł mu wynurzać swą wdzięczność i zadał pytanie: czem też mógłby się za tę łaską mu odwdzińczyć?



— Jednem jedynem słowem, mój stary. Powiedz mi, co twój pan ukrywa w tym małym domku w ogrodzie?

— *Różę*,—odpowiedział ogrodnik, ale i tyle nie powinien być zdradzić.

*Różę*. A więc nie *gołąbkę*, tylko *różę*! Niezawodnie jakiś unikat niezmiernej wartości, jakiś cud-roślinę z Rodopy. O, Albercie, podstępny Albercie!

Odkrycie to ostudziło znacznie Balduina. Serdeczność i przywiązanie przyjaciela naraz straciły dla niego wszelką wartość.

— Wybieraj między wszystkimi memi kwiatami, mów ten fałszywiec, i patrzcie: *najpiękniejszą* różę ukrył przede mną!

Ten podstęp oburzał go (przed czterystu laty ludzie byli drażliwsi). Poszedł do swego pokoju i zaczął pakować swoje rzeczy.

— Co znaczą te przygotowania do podróży?—napadł na niego w tej chwili właśnie nadchodzący gospodarz.

— Jadę do domu,—odpowiedział Balduin chłodno.

— To niepodobna!—zawołał Marosini podrażniony.—Tak niespodziewanie nie możesz przecież mnie opuścić. Ja się tak do ciebie przywiązałem, Balduinie, że nie mógłbym znieść tak nagłego rozstania. Muszę się pierwszej przyzwyczaić do tej myśli, muszę się z nią pogodzić, oswoić z tem, że mi ciebie zabraknie.

— Niepodobna, wyjechać stąd muszę zaraz, natychmiast.

— Powiedz-że mi przynajmniej, dlaczego?—błagał Marosini.—Czyż ci tu nie dobrze było?

— Dlaczego? dlaczego?—odparł Balduin cierpko.—Niezawodnie znasz dobrze mitologię? Jowisz ukazał się raz Numie i zażądał głowy i duszy człowieka. Numa zamiast głowy, dał mu cebulę, zamiast duszy rybę, i poczciwy Jowisz oświadczył z uśmiechem, że i tem się zadowoli.

— I cóż więcej? Ja cię nie rozumiem zgola...

— Mnie nie tak łatwo zadowolić, jak Jowisza.

— Twoje słowa zawierają jakiś wyrzut, Balduinie. To



mnie szczerze boli, ale nieświadom jestem żadnej względem ciebie winy. Skoro wszakże bądź co bądź chcesz odjechać, zostań przynajmniej do jutra. Przychodzi mi teraz na myśl, żeś przecież nie wybrał sobie jeszcze dotąd przyrzeczonej róży!

— Ah, daj mi pokój! Tyś sam pierwszy wspomniał ową różę. Niech więc tak będzie! Powiedziałeś, że mogę z pośród róż twoich wybierać. Dobrze zatem, wybieram tę różę, którą ukrywasz w gołębiej klatce!

Neapolitański kupiec odskoczył przerażony. Począł pojmować mitologiczną przenośnię.

— Bawiliśmy się w tajemnice, nie prawdaż? — wymówił Balduin szydereco.

— Tak, to prawda, chciałem ją ukryć przed tobą, — odpowiedział z westchnieniem Neapolitańczyk, — bo wiedziałem, że ci się podoba, że jej zapragniesz. Byłem egoistą, temu przeczyć trudno, bo i mnie ona jest drogą. Niech jednak będzie twoją, zabierz ją z sobą.

Na usta Werończyka, cisnęły się już słowa:

— Skoro mi ją odstępujesz, zrzekam się jej dobrowolnie (bo i on był wspaniałomyślnym chłopem), ciekawość wszakże, jaką to może być ta ukrywana róża, dręczyła go tak bardzo, że zapanował nad tem wzruszeniem i zachował zrzeczenie się na koniec sceny, skoro już mianowicie zobaczy różę. Tem większym będzie efekt, myślał sobie.

Balduin pozostał tedy do następnego rana. Albert przez ten dzień cały był bardzo smutny; niepodobna było wydostać z niego słowa. Czasami w milczeniu rzucał się w objęcia przyjaciela, to znowu uciekał od niego, zamykał się w swoim pokoju i płakał tam gorzkiemi łzami. To znowu wydawało się Werończykowi zbyt wielkim żalem, jak na utratę róży.

Wieczór, przepiękny, cudowny, neapolitański wieczór, z jego krwawą purpurą gorejącem niebem, z jego czarodziejską ciszą pełną marzeń, gdzie się żaden liść na drzewie nie poruszy, gdzie tylko matka ziemia słodko, spokojnie dyszy, a w pustej ciemno-

blekitnej przestrzeni do snu kołyszące tony syrynsu Pana dźwięczą dla zasłuchanego ucha,—ten wieczór spędzili obaj na tarasie.

(Tak moi panowie i panie, neapolitańskie wieczory i wówczas nawet są piękne, gdy obok siebie siedzi dwu *młodzieńców*. Nie jest bynajmniej nieodbitcie potrzebnem, aby jeden z nich był dziewczęcą), Mówili z sobą o kwiatach, o mirtach, georginiach i azaliach, o cudownych kwiatach stref obcych, których sława doszła do nich przez podróżników, co prawda, w przesadnych opisach. Obaj namiętnie zakochani w kwiatach zatoneśli zupełnie w tej rozmowie. Balduin wypowiadał swe poglądy, jak możnaby tulipanom nadawać dowolne barwy, Albert zaś powierzył mu tajemnicę, jakim sposobem można zwiększyć zapach lawendy w takiej mierze, by przelatujące nad jej krzaczkami ptaki odurzone w nie padały. Biedne ptaszki!...

Tylko o owej róży, która była kwestyą sporną, żaden z nich nie wspomniał. Balduin milczał przez delikatność. Marosini zaś widocznie dla tego, że mu myśl o tem sprawiała przykrość.

Było już około północy, kiedy udali się na spoczynek, aby dalej we śnie marzyć o różach—tej cudownej ozdobie naszej matki ziemi.

Łaskawi czytelnicy powiedzą z pewnością, że to niewybaczona głupota ze strony autora kazać dwu młodzikom we wspólniały wieczór neapolitański rozprawiać o *roślinach*, gdy do tej rozrywki akompaniuje im zdala dobiegający szum fal morskich. Alboż to rzecz prawdopodobna? Jakto! nie debatowali nad polityką? Nie łamali sobie głowy nad tem, jakie też plany snuje doża Wenecyi? Dwaj inteligentni młodzieńcy, z których jeden prócz tego był bardzo bogatym, czyżby nie marzyli o karierze, nie dążyli do wybicia się w świecie, czyżby nie mieli żadnych innych pragnień i dążeń? Były więc niegdyś takie czasy, w których nie istnieli ludzie, rwący się do kariery na politycznej drodze? Głupstwo! Fantazja! Mówić o roślinach! Śmieszność! Gdyby przynajmniej podówczas odkrytym już był tytuń z Gállos lub Verpelet, którym to tworem matka-ziemia najcenniejsze swe za-



dokumentowała nam myśli! Ale mówić o tulipanach! Tych, co prawda, mogła była nigdy nawet nie płodzić, a kiedy nas już niemi obdarzyła, spokojnie może sobie ten dar i cofnąć nawet; nikt nie uczuje jego braku.

Autor w obec takich uwag odkłada sam na bok pióro i pyta z powątpiewaniem:

— Czyż może to być prawdziwem?

Ale cóż znowu, skoro tak opowiada kronika!... Precz więc z niedorzecznemi skrupułami, temi złośliwemi demonami realizmu. Pozwólcie mi dalej snuć nić barwną.

Rankiem zbudził Marosini przyjaciela swego Balduina.

— Zbudź się, drogi, i ubieraj! Okręt odpływa. Musisz za chwilę puścić się w drogę. Muł, który cię odwiezie do przystani, czeka już przed bramą.

Balduin przetarł oczy i w istocie usłyszał pod oknami dźwięczące dzwoneczki muła. Wrzucił na siebie suknie, uściśnął swego przyjaciela i wybiegł.

Przed drzwiami przysionka czekały dwa osiodłane muły. Jednego siodło było próżne, na drugim natomiast siedziała śliczna dziewczyna—ale jakże piękna! Ciąg dalszy wysmukłej jej postaci, stanowiła istic łabędzia szyja, barw twarzy zapożyczyła chyba od najpiękniejszej róży, włosów—od najczarniejszej nocy. A cóż dopiero dwoje jej oczu, gdyby nie były spuszczone ku ziemi, gdyby nie przysłaniały ich długie wspaniałe rzęsy!

Balduin przetarł sobie oczy ponownie i oczarowany, niemal nieprzytomny, zapytał:

— Czy ja śnię?

— Nie, Balduniel! Niech ona będzie twoją, skoroś jej zapragnął,—odpowiedział mu Albert drżącym głosem.

— Ja?... Ona?... Co ty mówisz właściwie?...—wybąknął Weronczyk pomieszany.—Któż ona jest?

Marosini nie był w stanie wymówić słowa. Łzy napęłniły jego oczy. Stary ogrodnik, który trzymał muła Balduina za uzdę, odpowiedział za niego:

— Ona jest różą ogrodowego domku!

— I ty mniebyś ją oddał?— spytał Balduin, oddychając głęboko.— Tę ozdobę twego raj? O, przebacz mi, Albercie! Zawiniłem przeciw tobie, kiedyś bodaj na chwilę mógł zwątpić o twej pełnej poświęcenia przyjaźni! Ale nie, nie! Nie przyjmuję twej ofiary.

Spuszczone oczy czarującej dziewczyny podniosły się na te słowa. Popatrzała na Balduina i uśmiechnęła się. Ach, cóż to był za uśmiech! Kwiaty nie umieją się tak uśmiechać.

— Co, miałabyś jej nie chcieć?— badał Albert, chciwie chwytając jego słowa.

— Nie, ja ci jej nie wydre, skoro jest drogą twemu sercu. Nigdy nie byłbym jej zapragnął, gdybym był wiedział, że w klatce była *gołąbka*, nie *róża*. Przypuszczałem, że tam jest istotna róża. Anim ja ją widział kiedykolwiek, ani ona mnie — przysiądź ci to mogę.

— Nie przysięgaj,— zabrzmiał głos dziewczyny z grzbietu mura, a brzmiał jak świegot ptasi rozgłosnie a słodko,— bo ja cię widywałam bardzo często przez szczeliny okien.

I znowu uśmiechnęła się do niego. (Ach, te kobiety! One się nie zmieniają; takimi były przed czterystu laty, jakimi są dzisiaj!)

— Balduinie,— wymówił Neapolitańczyk z surową powagą,— chcesz mi poświęcić swe szczęście. Czytam to w twoich oczach, że ją już kochasz; ze względu na mnie tylko zapierasz się tego uczucia. Ja już przemogłem się, już się jej wyrzekłem. Okropna to była dla mnie doba, ale już teraz wiem co czynię, co mi czynić należy. Serce moje stało się twardem, jak kamień. Zabierz ją zatem z sobą!

Balduin odprowadził przyjaciela na stronę poza filary przed-sionka.

— A któż ona jest właściwie?

— Esre jest córką pewnego genueńskiego kupca. Ojciec jej powierzył mi ją, kiedy była jeszcze dzieckiem, naczynając



mnie na łożu śmierci jej opiekunem. Tu wyrastała ona i rozwijała się pod mojem okiem, niby pączek róży. Ja ją chroniłem od blasku słońca, od wichru i słoty, od siebie samego. Niezadługo dosięga szesnastego roku, a wraz z tą chwilą zamierzałem pojąć ją za żonę. Bóg jednak chciał inaczej. Ale teraz jedźcie już w drogę, bo się spóźnicie na okręt.

— Nie, na Boga, ja ci jej nie mogę wydzierać! Nie zniósłbym tego, gdybym miał wiedzieć, że ci złamał serce. Wolę sam zginąć, bo nie przeczę, że pierwsze już jej spojrzenie utkwiło w sercu mojem, jak strzała.

— To rzecz całkiem naturalna,—odpowiedział Marosini.— I ja może mniej jeszcze mógłbym pogodzić się z moim losem, gdybym wiedział, że ciebie i ją czynię nieszczęśliwymi.

— Patrzaj, o tem nie pomyśleliśmy,—zawołał Balduin żywo.—A przecież od tego zacząć nam należało: niech dziewczyna rozstrzyga sama.

— Esre już rozstrzygnęła,—odparł Marosini smutnie.— Wczoraj z nią o tem mówiłem.

— I?

— Chce stąd odjechać.

— Ach, co za szczęście!—wybuchnął mimowolnie młodzieniec i blaskiem radości zapalały mu oczy.

— Idźmyż więc!

— Jeszcze chwilka cierpliwości tylko,—przemówił Albert i przyłożył do ust małą świstawkę; na ten znak otwarła się brama wielkiego dziedzińca i wprowadzono dwanaście jucznych osłów, obładowanych wszelakiego rodzaju pakunkami.

— To zaś, mój przyjacielu, jest posag Esry, który ci jeszcze muszę oddać. W tych pakach są pieniądze, klejnoty, złoto, srebro i drogie materye. Esre jest bogatą, najbogatszą dziewczyną w Neapolu.

— Ach, Albercie, dobroć twoja przechodzi wszystko. Ją chyba kiedyś opiewać będą poeci... (Widocznie podówczas miał mnie na myśli). Wstyd mi doprawdy brać to wszystko.

Marosini machnął ręką.

— Tyś jej godniejszy odemnie, bo ja wiedziałem o jej bogactwie; moja miłość może nie była tak bezinteresowną, jak twoja, boś ty nie mógł mieć pojęcia o jej skarbach. Ale, Bóg z tobą, Balduinie, Bóg z tobą, Esro! Bądźcie szczęśliwi oboje!

Ostatnich słów ledwie domówił wśród łkania, i całą siłą woli przerywając to pożegnanie bolesne, wpadł do domu.

Balduin odjechał ze swą piękną zdobyczą do Werony. Dwanaście obładowanych osłów poniosło za nim wory pełne skarbów, trzynasty zaś osioł płakał głośno, w połyskujących przepychem komnatach swego pałacu...

Zmartwienie istniało niegdyś całkiem tak samo, jak dzisiaj. Kto miał zmartwienie, pił wino, kto miał wielkie zmartwienie, pił wiele wina—i bywał wyleczonym. I Albert szukał zapomnienia w czarze wina. Ale wino jest niebezpiecznym też napojem. Kiedy Noe,—tak mówi legenda,—sadził pierwszą winną latorośl, podlewał ziemię krwią lwa, owcy i świni.

Odtąd u każdego pijaka obserwować można ujawnianie się właściwości trojga tych zwierząt. Nasz bohater doszedł tylko do stadyum owcy. Stał się łagodnym, oglupiał, zaniedbał dotychczasowych swych zajęć, handel, okręty jego na morzu znacznych nabawiły go strat. Położenie jego coraz stawało się krytyczniejszem, i aby je jakkolwiek uporządkować, zamienił wszystko na gotowy pieniądz, popłacił długi i wziął kij wędrowny, by na obczyźnie, pośród obcych ludzi i w innych strefach—zapomnieć.

Gotówka, jak wiadomo, choruje zawsze na suchoty. Bohater nasz prócz tego był szczególniejszym dziwakiem i lekkomyślnym człowiekiem. Ilekroć spotkał kogoś, nie posiadającego pieniędzy, pełnemi dłońmi pożyczzał mu zaraz, jakkolwiek, co do tego punktu nie mam zupełnej pewności, w dziełach bowiem współczesnych pisarzy nie widzę nigdzie, aby ludzie owych czasów potrzebowali kiedykolwiek pieniędzy. Zadne te starożytne dusze prowadziły wojny, wyjeżdżały szukać przygód, przygrywały na lutni pod oknami zamków, nosiły u ramion barwy swej damy



i bezustannie spełniały całe szeregi dobrodziejstw, broniąc uciskionych i siejąc złotem wszędy,—skąd wszakże czerpały bajoniskie te summy, pod tym względem nie mogę dać żadne go wyjaśnienia.

Co do Alberta, podobno miał go obedrzeć jakiś jednooki „briganti“ z reszty pieniędzy, które nosił przy sobie w jedwabnym woreczku. Powiadam „podobno,“ bo wedle mego mniemania, nawet u rozbójnika owoczesnego nie można dopuszczać takiej niegodziwości.

Bądź jak bądź, to pewna, że neapolitański młodzieniec podczas fantastycznej swej wędrówki w ciągu lat pięciu, czy sześciu utracił wszystko, co posiadał. Suknie nawet wisiały mu w łachmanach na grzbiecie tak, że w swej nędzy, głodzie i zimnie postanowił odnaleźć przyjaciela swego w Weronie, który niezawodnie przyjąć go zechce z całą serdecznością do swego domu.

Szedł tak całymi tygodniami wciąż naprzód i naprzód. Ubranie na nim jeszcze się więcej zdarło. Podeszwy odpadły od zniszczonego obuwia, kiedy nakoniec pewnego popołudnia przybył do Werony. Wieżycy miasta migotały i połyskiwały w blasku słońca, niezbyt zapraszająco jednakże. Serce Alberta ścisnęło się dziwnie.

— Czy mnie też pozna Balduin? A Esra? Czy mi jak natrętnemu żebrakowi nie odmówią? Czy nie będą się wstydzili znajomości ze mną? Ale bo i jakże miałbym odwagę stanąć przed nimi w tem odzieniu? Nie, nie! W biały dzień uczynić tego niepodobna! Doczekam gdziebądź do wieczora i w cieniu nocy dopiero odważę się stanąć przed domem Balduina. Esre nie powinna się o tem dowiedzieć. Wobec niej wstydy mnie zabił chyba.

Niepostrzeżenie każe poprosić Balduina, aby wyszedł do mnie.

Tak rozmyślał Albert, tworzył tysiące planów i odrzucał wszystkie po kolei. Jeden wsza kże zamierzył wykonać, ten mianowicie, by tak obdartym, brudu ym i potarganym za dnia nie iść

przez miasto, a zwłaszcza nie pokazać się Balduinowi, tylko ukryć się gdziekolwiek i tam doczekać wieczora.

Znajdował się właśnie pod samem miastem koło cmentarza. (Cmentarz choć jeden, musi bądź co bądź wchodzić do powieści, która odgrywała się przed czterystu laty). Pośród lasu mogił i krzyżów stał budynek z kopułą, pokrytą blaszanym dachem. Była to „cynowa sala,” salon przyjęcia nieboszczyków.

Alberta napadła szczególniejsza ochota wejścia do tego salonu, aby się tam w cieniu wyciągnąć nieco, odpocząć i przyprowadzić do równowagi znużone członki. Nogi same go tam poniosły, żołądek tylko był przeciwnego zdania. Żołądek nakłaniał go, by szedł do Balduina.

Albert wszedł do sali. Drzwi nie były zamknięte, przywarte w połowie tylko. Wewnątrz stało tam cztery, pięć nawet próżnych katafalków. W szalone te upały nikt widocznie nie miał ochoty umierać. Ale tutaj było chłodno, przyjemnie; dwa okna na przestrzał były otwarte, wiatr wcho dził i wychodził przez nie swobodnie. Wcale miłe miejsce odpoczynku. Znużony wędrowiec wdrapał się na jeden z katafalków, wyciągnął się na nim, podłożył sobie podarty kapelusz pod głowę i wkrótce potem zasnął snem sprawiedliwego.

Spał dobrą już widocznie chwilę, kiedy jakiś łomot, czegoś jakby spadającego, zbudził go ze snu. Ciemność zupełna panowała dokoła. Zerwał się ze swego łoża i krzyknął, drżąc na całym ciele:

— Kto tam?

Jakaś postać podniosła się z posadzki i pośród grubiańskich klątw mruknęła:

— Cóż to ciebie obchodzi? Skoroś umarł, leż cicho! Patrzcie co to za zuchwalcy z tych umarłych!

Niemniej przeto widocznie wylekły nowy przybysz starał się w bezpieczniejsze ująć miejsce. W mgnieniu oka wyskoczył drugim oknem.



Albert przyszedł nieco do siebie z przestachu, uspokajał się, zęby przestawały mu dzwonić.

Co to jednak być mogło? Aż, nic, po prostu ktoś wskoczył oknem, i hałas ten go zbudził. Niezawodnie taki sam biedak, jak on, który tu zamierzał noc przepędzić, ale na niespodziewany dźwięk głosu, który wziął za głos umarłego uciekł drugim oknem.

Nie miał wszakże czasu na długie rozmyślanie. Zbliżające się głosy zmąciły chwilową ciszę. W chwilę później otworzyły się drzwi, przez nie i przez oba okna wskoczyli mężczyźni jacyś z hałasem i szcękaniem do wnętrza kostnicy.

— Poddaj się, nędzniku!—poczęli krzyczeć.—Poddaj się, inaczej zginiesz!

Ten, który wszedł przeze drzwi, miał w ręku latarkę, która oświeciła salę i trzech przybyszów. Była to straż uzbrojona w szable i lance.

— Więc wpadłeś jednakże w pułapkę, ptaszku?

Z temi słowy rzucili się na Alberta, powalili go na ziemię, zakneblowali mu usta i powlekli z sobą. Daremnie próbował się tłumaczyć.

— Co zamierzacie ze mną uczynić, moi panowie? Nic przecież nie zrobiłem nikomu złego. Wszedłem tu tylko, aby odpocząć.

— Dobrze my to już wiemy, filucie. W takim razie może to mój dziadek zamordował tego człowieka nad cmentarnym rowem?

— Co za człowieka? Ja jestem niewinny!

Strażnicy zaśmieli się i powlekli go z sobą do więzienia.

— Dajcież mi przynajmniej jeść!—ozwał się wygłodniały więzień—a potem myślcie sobie o mnie, co się wam podoba.

Następnego dnia poprowadzono go do sędziego. Sędziwy Maryusz Celini, był podówczas najwyższym sędzią w Weronie. Człowiek niezmiernego znaczenia, wenecki *nobile*. Imię jego zapisane jest w złotej księdze Wenecyi. Jako znamię nadzwyczaj-

nej swej władzy nosił on gronostajowy kołnierz na purpurowym sędziowskim płaszczu.

Dwóch zbirów przywiodło oskarżonego przed oblicze sędziego.

— Popeliłeś morderstwo,—ozwał się sędzia.— Powiedz, co masz na swoją obronę i z jakich pobudek zamordowałeś tego człowieka. Bóg patrzy na intencję i wedle niej sędzi. A ponieważ i ja także.

(Tak dumnie przemawiali w owe czasy sędziowie).

— Panie, jam nie zamordował nikogo. Ja jestem niewinny.

— Nie kłam. Tu są świadkowie. Wystąpie!

Wszyscy trzej zbiry opowiedzieli, że wczoraj wieczorem zobaczyli ponad rowem cmentarnym dwóch ludzi bijących się z sobą. Było już ciemno, nie mogli zatem dojrzeć twarzy dwu tych postaci dokładnie. Pobiegli na pole walki, ale zastali już jednego tylko leżącego na ziemi i przebitego sztyletem; miał kilka ran, tarzał się we krwi i ostatnie wydawał już tchnienie; drugi natomiast ze zwinnością kota przeskoczył rów cmentarny i poprzez groby popędził do „cynowej sali,“ gdzie się schronił, wskoczywszy przez otwarte okno. Pędzący za nim policyjanci widzieli go dokładnie przy świetle wschodzącego właśnie księżyca, i zastąpiwszy wejście, pochwycili szczęśliwie złoczyńcę.

— A zatem?—spytał sędzia, zwracając się do obwinionego:—cóż jeszcze powiedzieć możesz po tem świadectwie na swoją obronę?

— Widzę, że jestem zgubiony,—odpowiedział Marosini,—jakkolwiek, jak to już powiedziałem, czuję się całkowiście niewinnym. Nazywam się Albert Marosini. Niedawno temu jeszcze byłem zamożnym człowiekiem, znanym w Neapolu, ale straciwszy wszystko, zamierzyłem tu w Weronie udać się do serdecznego mego przyjaciela. Wczoraj po południu przybyłem też istotnie do miasta. Znużony, wygłodniały, wstydząc się w obdartych sukniach za dnia stanąć przed przyjacielem, zaszedłem do kostnicy cmentarnej, by się tam doczekać wieczora. Było to dla mnie



nieszczęściem. Sen mnie zmorzył. Zbudziłem się dopiero, kiedy jakiś ciężki przedmiot wpadł do sali. Jakiś człowiek wskoczył oknem. Zawolałem: „Kto tam? Co się to stało?” Na to ów człowiek, przypuszczając widocznie, że to jeden ze składanych tam nieboszczyków do niego się odezwał, wylękony co najspieszniej wyskoczył drugim oknem.

— Bardzo to ładna bajeczka,—ozwał się sędzia szyderczo, zwracając się do zasiadłych w półkole radców.—Boccaccio nie byłby mógł wymyślić zréczniej. Oczywiście człowiek ów był mordercą?

— Zapewne,—odpowiedział Marosini.

— Tak?—podjął znów sędzia.—Jakkolwiek masz dość rozumu na obmyślanie baśni, to przecież nie starczy ci ten rozum w innych rzeczach. Skoro nazywasz się Albert Marosini, a przecież w żadnym uie stoisz związku z popełnioną zbrodnią, wytłumacz mi, jakim sposobem na tym błękitnym woreczku, który znalaziono przy trupie właśnie twoje nazwisko jest wyhaftowane?

Sędzia ukazał mu przy tych słowach woreczek niebieski jedwabny, w który wrobione było nazwisko „Marosini.”

Oskarżony zawołał głęboko wzruszony:

— Na Boga, toż to moja sakiewka, którą niedawno w okolicach Genui, zabrał mi jakiś rozbójnik.

— Ach, nowa bajeczka. Dość tego!—przerwał mu sędzia zimno.

Albert westchnął głęboko. Woreczek ten haftowała dla niego Esrel „Jakiż wtedy byłem jeszcze szczęśliwy! Straszne fatum, co mnie w taką popycha przepaść! Przyjdzie mi skończyć życie z piętnem zbrodniarza, ale mniejsza o to! Przynajmniej raz już skończę z tą bezcelową; nienawistną egzystencją!”

Pogodził się z swym losem.

To najlepsze może jeszcze wyjście; przynajmniej nikomu nie będzie ciężarem na ziemi.

Pbzory były wszystkie przeciw niemu; dziwne, zdumiewa-

jącej! Ale któż usnuł całą tych pozorów przedzę? Ręka Boga. Ha, skoro tak Bóg chce, niechaj się dzieje!

Spokojnie przyjął wyrok, jakkolwiek wyrok ten skazywał go na śmierć. Niechaj mu kat zetnie głowę toporem.

W Weronie egzekucye śmierci cieszyły się wielkiem u publiczności powodzeniem. Zwłaszcza też kobiety okazywały wielkie zamiłowanie do tego rodzaju widowisk. Staczająca się z rusztowania głowa to prawdziwy przysmak dla nerwów. Całe miasto wyległo na plac trzeunia. Bo też dziś będzie niezwykle widowisko. Nie jedna tylko głowa Marosiniego ma spaść z karuku, odbędzie się druga, jeszcze ciekawsza egzekucya. Olbrzym pewien, niejaki Orist, skazany był na śmierć przez łamanie kolan. Był to słynny, osławiony raczej, morski rozbójnik i podpalacz. Ostatniej tej właściwości zawdzięczał swój przydomek *maestro della luce*, którym go lud obdarzył.

Orista wraz z Albertem poprowadzą na śmierć, to jest na-przód Orist będzie łamany kołem (tak brzmi program widowiska). Tej pierwszej części programu wolno będzie jeszcze przypatrywać się Albertowi, jeśli zechce. Przynajmniej nie powie, że umiera, nie ujrzawszy nigdy w życiu tak ciekawej egzekucyi; taka rzecz i w dawne już czasy bywała pożądaną rozrywką.

W więzieniu siedzieli obaj razem w jednej celi. Albert modlił się, Orist klął na czem świat stoi. *Maestro della luce* (nazwa podpalacza, w gwarze złodziejskiej) nie miał najmniejszej ochoty umierać.

Kiedy radca Baccarini, któremu naczelný sędzia powierzył władzę wykonawczą w obu wyrokach, wszedł do celi więźniów, aby wedle zwyczaju zadać delikwentom pytanie: jakim byłoby ostatnie ich życzenie?—a to życzenie, zgodnie z przyjętem prawem, podczas ostatnich dni trzech przed straceniem, musi im zostać spełnionem, Albert zażądał jak najwyborniejszych potraw, doskonałych win, Orist zaś oświadczył z dziwną stanowczością:

— Ja chcę się nauczyć po francusku!

Signor Baccarini, skutkiem podstępного tego życzenia, po-



padł w kłopot niemały; usiłował przekonać Orista o niedorzeczności jego żądania:

— Żądaj czegoś rozsądniejszego, mój kochany, czegoś, co by ei mogło sprawić przyjemność, co byś mógł zużytkować natychmiast.

— Mojem jedynem życzeniem jest to, którem już wypowiedział. Mnie sprawi to niesłychaną przyjemność, gdy będę mógł rozumieć i mówić po francusku.

— Dajże temu pokój, waryacie! Toż w ciągu trzech dni niepodobieństwem jest nauczyć się po francusku.

Orist wzruszył ramionami.

— Ha! to nie moja już wina.

I niepodobna było odwieść olbrzyma od tej myśli, co signora Baccarini, uczonego prawnika, do tego stopnia wprowadziło w kłopot, że nie wiedział, jak sobie poradzić w tym wypadku. Dla tego udał się do naczelnego sędziego, a i tego potężnego męża nawet zakłopotał dziwaczny pomysł mordercy.

— *Corpo della madonna!* Ten łotr widocznie na jakieś dziesięć lat przynajmniej jeszcze chciałby zabezpieczyć swe życie, — przypuściwszy, że zechcemy trzymać się ściśle prawa.

— Cóż tu zatem z nim zrobić?

Trzeba mu natychmiast posłać do celi nauczycieia, któryby mu dawał lekcyje; niech się uczy, ile się zdoła w ciągu trzech dni nauczyć, ile w ogóle może mu jeszcze być potrzebnem w tem życiu.

Wieść o dziwacznej żądaniu pirata w lot się rozbiegła po mieście i niemałego napędziła ludziom strachu; lękano się, że skutkiem tego miasto będzie pozbawione widoku łamania kołem.

W każdym razie zajęcie dla osoby Orista wzrosło ogromnie, tak, że w dniu oznaczonym na placu egzekucyjnym zebrały się nieprzejrzone tłumy ludu.

Przodem postępował kat, wznosząc w górę z godnością miecz swój świeżo z tej okazji naostrzony. Miecz nie był obnażony, ale dotąd spoczywał jeszcze w pochwie.

To Piso, „brat choroby,“ jak zwą kata w całych Włoszech. Traci on skazanych z taką gracyą, że podobno żadnych nie de-  
znają cierpień; kto wie, czy nie przejmuje ich nawet pewien ro-  
dzaj przyjemnego uczucia na widok takiego mistrzostwa. Ale  
Piso wyłącznie tylko umie tracić mieczem, to jego specyalność.  
Do bicia kołem sprowadzono słynnego Bubula Truxa z Bolonii.

Za obu katami, przyodzianymi w purpurowe płaszcze, po-  
stępują dwaj pomocnicy katów, niosący czarne przed skazanymi  
chorągwie. Na czarnem polu tych sztandarów powiewa z wich-  
rem po siedm czerwonych kruków, niby emblemat skazańców.  
Siedm kruków! Siedmiu towarzyszków, którzy z nimi niebawem  
jeszcze będą mieli do czynienia.

Poza temi dwoma chorągwiami, każdy w otoczeniu sześciu  
dozorców więziennych, szli obaj skazani: Marosini złamany, milczą-  
cy z pochyloną w dół głową; w przeciwstawieniu z nim górowała  
Orista postać olbrzymia, z zaciśniętymi groźnie pięściami, ziejąca  
kłatwy, niezrozumiałe jednak dla otaczającego tłumu z powodu  
maski, w której smutni podróżnicy wstępują w drogę do innego  
świata, i która dopiero zdjętą im zostanie przy odczytaniu wyro-  
ku. Po za więziennymi dozorcami, jedzie kapitan zbirów na  
czarnym koniu, obwołujący przenikliwym głosem:

— Miejsce!... zrobić miejsce dla ojców miasta! Pochód bo-  
wem zamykają kroczący z powagą i godnością senatorowie z na-  
czelnym sędzią na przedzie. Dla panów tych jest przygotowana na  
placu egzekucyjnym osobna trybuna, okryta jasno-zielonem su-  
knem.

Ojcowie miasta zajęli już wszyscy swe miejsca, z wyjąt-  
kiem Baccariniego, który stanął w pobliżu rusztowania, by tam  
wydawać rozkazy.

Zdjęto Oristowi maskę. Wielki niepokój w falującym tłumie.  
Baccarini odczytał cały szereg przestępstw Orista (ciasne  
ramy naszego opowiadania nie pozwalają nam ich tu wyszczegół-  
niać; zajęłoby to ze trzy stronicę co najmniej), poczem nastąpiła  
sędziowska sentencja:



— W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego, przystąpić do łamania kołem!

Następnie skinął na kata Bubula Truxa.

— Dokonaj tego, co Weroną postanowiła i nakazuje!

Kat przystąpił do Orista i pochwycił go, gdy tymczasem jego pachołki trzymali już sznury w pogotowiu, ale olbrzymio silny pirat, z błyskawiczną szybkością, ogromną swą pięścią taki raz wymierzył w pierś kata, że ten zachwiał się, wywinął w powietrzu koziółka i padł o jakie półtora sążnia dalej.

— Ach, ach, aj! aj!—rozległo się z szeregów zebranego ludu—co to za siła! jakie ramiona!

Dozorcy więzienni rzucili się na Orista, ten wszakże z niezmierną siłą wyrwał jedną z baryer, otaczających rusztowanie, i zawiązał nią, jak lekką słomką dokoła z takim rozmachem, że w powietrzu, prutem ciężką belką, świszcząco.

— Śmierć temu, kto się do mnie zbliży!—zaryczał olbrzym.

Słudzy sprawiedliwości „skoncentrowali się ku tyłowi.“ Bubulo Trux podniósł się z trudem na nogi, i kulejąc, podszedł do trybuny sędziów.

— Ten bawół omal mi nie rozwałił piersi. Ja go już nie tknę się z pewnością!

Stary Celini pobladł ze wściekłości.

— Co za wstyd!—krzyczał.—Dalejże, zbiry i kaci, pochwycić mi go lub na Boga, sami to przypłaciecie!

Ale i zbiry, i kaci nie ruszyli się nawet z miejsca.

— Dziesięć dukatów każdemu,—krzyczał znów Celini,—kto pokona Orista lub go pokonać dopomoże!

I to jednak nie pomogło. Orist był panem sytuacji. Wielkie jego, wyszłe z orbitów szare oczy zabiegły krwią, pierś dyssała, ale ręka nie była zmęczoną.

Baccarini począł, wprawa w dzie z należytego oddalenia, parlamentować z olbrzymem. Słynny on był z daru przekonywającej wymowy.

— Dajże pokój, Oriście! Posłuchaj mnie przez chwilę. Nie

machaj tak tym długim kawałkiem drzewa, bo prędzej czy później zmęczyć się przecież musisz. Pozwól z sobą rozumnie pogadać. Widzisz, mój synu, po co to wszystko? Na co wyrabiać ci te awantury? Znam cię przecież, jako rozumnego człowieka. Byłeś nim przez całe życie, po co więc teraz wyprawiać głupstwa? Musisz umrzeć, na to niema rady. Ten flgiel, żeś się chciał wyuczyć po francusku, był doskonały. I mnie on się podoba. Ale, że teraz zachowujesz się, jak smarkacz, jak głupiec, tem przynosisz tylko wstyd mnie, który niedawno jeszcze, składając o tobie raport panu sędziemu, powiedziałem, że mógłbyś być biskupem, gdybyś pozostał był na uczciwej drodze.

Rozbójnika poczęła zajmować ta przemowa. Rozejrzał się dokoła, a skoro się przekonał, że nie potrzebuje się obawiać napaści schylił belkę na chwilę i oparł na niej ramiona. Baccariniego ośmieliło to powodzenie i zdwoiło jego jowialność.

— A potem, mój synu, nie tylko wstyd mi przynosisz, ale jeszcze narażasz na tysiączne nieprzyjemności. Ja sprowadziłem ze wsi moją teściową, z tego powodu tylko, że tu dziś ma być tracenie kołem. Patrz, widzisz ją tam na balkonie domu Corsettiego? jeśli mi nie wierzysz, patrzaj! Zbyt jesteś mądry, abyś nie rozumiał, co to znaczy. Niezawodnie sam miałeś niegdyś teściową. Proszę cię więc, postaw się w mojem położeniu, skoro egzekucya twoja nie miałaby przyjść do skutku!

Pał wypadł z rąk Orista. Czy pokonały go argumenta, czy znużenie? Wymówił zachrypłym głosem:

— Róbcie zatem ze mną co chcecie!

Kaci zbliżyli się do niego. W tejże chwili jednak podniósł się Maryusz Celini, naczelnny sędzia Werony i laską swą ze słońcowej kości skinął na katów.

— Czekajcie!

Nastąpiła głęboka cisza jak w grobie.

— Ten człowiek ma honor w piersi,—ozwał się naczelnny sędzia uroczystym głosem.—Ja sądzę, że wydany na niego wy-



rok jest zbyt okrutnym. Niechaj karą dla niego będzie dożywotnie więzienie!

Senatorowie skinęli głowami na znak zgody. Orist wykrzyknął jakąś podziękę w słowach bez związku.

— No, teraz masz już rzeczywiście dosyć czasu na wyuczenie się francuskiego języka,—zauważył Baccarini.

Z kolei rozpoczął odczytanie winy i wyroku na drugiego delikwenta.

Zdjęto Marosiniemu maskę. Piso (łagodniejszy brat choroby, który z mniejszem cierpieniem pracuje dla śmierci), zdjął z niego zwierchnie ubranie i właśnie zabierał się białą chustką zawiązać mu oczy, kiedy jakaś postać zadyszana z trudem przedarła się przez tłum i rzuciła właśnie przed trybunę sędziów.

— Ten człowiek nie jest winien zarzucanej mu zbrodni! Ja jestem mordercą!

Szmer zdziwienia podniósł się wśród tłumów. Nazwisko przybyłego powtarzano sobie z ust do ust.

— Doktor Balduin! Doktor Balduin miałby być mordercą? Ten uczciwy, pełen honoru, poważany przez wszystkich obywateli Werony? Dziwne rzeczy dzieją się na tym świecie!

Naczelný sędzia skinął na kata, aby wypuścił skazanego.

— Balduin!—zawołał on.—Ty, drogi mój przyjacielu, ty miałbyś być mordercą! To niemożliwe!

Balduin podniósł głowę i wyrzekł:

— Tak, to ja, sędziowie Werony. Ja jestem mordercą. Ja to zabiłem niewiomego z nazwiska człowieka na skraju cmentarza. Teraz wszakże, gdy zobaczyłem, że niewinny ma ginąć za mnie, zbudziło się we mnie sumienie, i własnowolnie oddaję wam pod topór moją głowę.

Marosini w rozpacz przybiegł do Balduina i szeptem począł mu wyrzucać.

— Ach, przyjacielu, pocóż nie zostawiłeś rzeczy ich biegowi? Na co to było potrzebne? Moje życie i tak nie ma już wartości; jeśli rzeczywiście zmazałeś duszę twą zbrodnią, ziemską

karę jabym chętnie poniósł za ciebie. Cofnij twe zeznanie, jeszcze nie jest za późno!

Balduin odepchnął go z oburzeniem.

— Nie nudź mnie próżną gadaniną! Dla mnie życie ma jeszcze mniejszą wartość.

— Czemużby? A Esra? Ty musisz żyć dla Esry.

— Esra... Esra,—pomruknął Balduin, jak we śnie.—Niebawem dowiesz się wszystkiego. Idź do niej!

Maryusz Celini, który tymczasem naradzał się był z senatorami, oznajmił ludowi decyzję.

— Ponieważ Balduin Gerwazyusz sam się przyznaje do popełnionego morderstwa, wyrok karzącej sprawiedliwości zwraca się przeciw niemu. Niech głowa jego spadnie pod toporem katal

Baccarini zwrócił się do Pisa:

— No, Piso, bierz go i wykonaj, co postanowiła i nakazuje Werona!

Ale Piso nie doszedł jeszcze do Balduina, którego gruby kark mierzył niechętnem spojrzeniem, kiedy nowy zgilek powstał wśród tłumu.

Szewe, nazwiskiem Silas, który z wysokości gałęzi jednego z drzew przypatrywał się dopiero co odegranym scenom, wrzasnął głośno, ponad głowami tłumu:

— Patrzcie, idzie nowy jakiś morderca! Ha, ha, ha! To już doprawdy za komiczne!

I rzeczywiście, człowiek jakiś o ponurem, dzikim spojrzeniu pięściami torował sobie drogę przez tłum i krzyczał z całych sił:

— Puście mnie, puście, bo ja wam powiadam, na Madonnę, że tutaj mnie tylko zetną.

Tłum śmiał się, ale niemniej ustępował mu z drogi. Nieznajomy dostał się wyłomem, zrobionym w baryerze przez Oristai, podchodzącego do Balduina kata, uderzył poufale po ramieniu.

— Poczekaj-no cokolwiek, ojczulku! i mnie w tej sprawie jeszcze należy powiedzieć słówko.



Z temi słowy podszedł do trybuny sędziów, i rozpinając płaszcz swój obtargany, począł tak mówić:

— Sędziowie Werony! Zacni i możni panowie. Sprawcą dokonanego mordu nie jest ani jeden, ani drugi z obu tych ludzi, ale ja nim jestem.

— A któż ty jesteś?—spytał Maryusz Celini.

— Jestem Ruffo, rozbójnik; ten, którego pod murem cmentarnym zabiłem, był moim towarzyszem, a zwano go jednookim Castusem. Razem puszczailiśmy się na wyprawy, razem polowali na jedną zdobycz. Przy podziale on chciał mnie oszukać o jedną gwineę, i z tego powodu pokłóciliśmy się z sobą. Przyszło do bójk, i w zaciekłości pchnąłem go w serce sztyletem, bo mnie oburzała niesłuszność. Straż bezpieczeństwa zbiegła się na miejsce czynu, wpadłem na cmentarz, a stamtąd do „cynowej sali.“ Tam ktoś przemówił do mnie z katafalka. Sądziłem, że to umarły, prawdopodobnie jednak był to ten biedak (tu wskazał Alberta), więc też pełen przestachu, wyskoczyłem drugiem otwartem oknem i ukryłem się między mogiłami.

Naczelny sędzia Werony, skinął potwierdzająco głową.

— Szczególniejszy wypadek! Coś podobnego nie zdarzyło się jeszcze przez cały ciąg długiego mego urzędowania. Zaprawdę, tak musiało dziać się wszystko. Tyś więc mordercą, niema już pod tym względem wątpienia! Biedny Marosini niewinnie wpadł w potrzask; ciebie, Balduinie, jednak nie pojmuję. Wyjaśń nam, co cię skłoniło do tej komedyi?

— Najlepszego mego przyjaciela zobaczyłem na rusztowaniu—odpowiedział Balduin,—człowieka, który przed kilku laty oddał mi skarb, droższy mu nad życie. Jam był jego dłużnikiem i chciałem dług mój mu spłacić. To przyczyna.

Tu Balduin opowiedział od początku do końca cały swój pobyt w Neapolu, zachowanie się względem niego Marosiniego, które wzruszyło serca nawet sędziów.

— Miałeś słuszność, Balduinie. Teraz dopiero stałbyś się

był godnym swego przyjaciela — wymówił uroczyście naczelny sędzia. — Idźcie teraz w imię boże do domu i cieszcie się obaj!

Z kolei skinął na Ruffa rozkazującemi swemi brwiami.

— A ciebie, cóż skłoniło, morderco, żeś sam przyszedł się tu oskarżyć, choć wiedziałeś, że zbrodnia twoja ukrytą może pozostać na zawsze?

— Dusza moja nie mogła tego znieść dłużej. Byłem naocznym świadkiem wszystkiego, co się tu działo. Widziałem, że niewinny ginąć ma za mnie; serce mi się ścisnęło, sumienie oburzało się przeciw temu, to jednak, co potem nastąpiło, wzruszyło mnie jeszcze głębiej. Musiałem patrzeć na to, jak w miejsce jednego niewinnego, inny człowiek również niewinny przyjmuje na siebie winę. Tego było mi już za wiele. Tego nie mogłem na sobie przenieść. Przedarłem się do was, sędziowie!

Celini podniósł się ze swego siedzenia, aby sformułować wyrok. Inni senatorowie zazwyczaj w takich razach powstawali również:

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego! Obywatele Weroni!

(Tu głos podniósł jeszcze).

— Ponieważ grzeszny ten człowiek przeniósł prawdę nad własne życie, zasługuje na to, byśmy mu życie darowali. Ja go rozgrzeszam i ułaskawiam na tej ziemi!

Tłum wybuchnął grzmotami oklasków, powiewał chustkami, krzychał i lawiną cisnął się do bohaterów dnia tego. Nawet teściowa Baccariniego na balkonie domu Corsetti pogodziła się z takim obrotem zdarzeń, tylko Piso, „brat choroby“, mruczał gniewny.

— Drwią sobie po prostu z człowieka! Bo po co go sprowadzają daremnie?

Balduin wziął Alberta pod ramię i opuścili plac egzekucyi.

— Chodź, zaprowadzę cię do domu, do Esry.

— Ale przecież nie w tem odzieniu? — opierał się.

— Nie troszcz się o twe ubranie. To głupstwo! Najbogac-



szy człowiek w całej Weronie ubiera się tak, jak mu się podoba ubierać.

— Nie rozumiem twoich żartów, Balduinie.

— Wszystko po kolei się wyjaśni, drogi mój przyjacielu! Chodź tylko za mną. Ot, już jesteśmy, to dom mój. Idźmy jednak przez ogród, bo Esre o tej porze zwykle siedzi w altanie.

Ach, jak też było Albertowi serce! Na rusztowaniu nie był tak wzruszony.

— Nie, nie, Balduinie, nie pójdę. Mam do tego słuszne powody. Puść mnie napowrót w świat na tułaczkę.

— Jeśli nie pójdziesz sam, ja cię zaniosę.

Przy tych słowach pochwycił go gwałtownie za rękę.

Śliczny to był ogród. Wielkie drzewa o wspaniałych liściach konarach. Tu dzicz zupełna, tam oaza z czerwieniejącymi jagodami. Łodygi jarzyn kładły się na trawie, wrzos płatał się w fantastyczne zwoje. Dalej nieco przeglądały arcydzieła ogrodniczej sztuki w olśniewającym barw bogactwie, sale, klomby różnokolorowych kwiatów, nad którymi unosiły się upojonych pszczoł roje.

Albert nagle się wzdrygnął.

— Co to jest? Czy ja śnię?

Kiedy bowiem zostawili poza sobą gęstwinę drzew, ukazał się ich oczom domeczek taki sam, jaki był u Alberta w Neapolu, może ten sam nawet!

— Ta klatka tak cię przeraziła?—uśmiechnął się Balduin.— No, cóż w niej tak dziwnego? Wszakże taka sama, jak twoja. A ja w niej więzę taką samą gołąbkę...

Jak to? i w tej jest gołąbka! I tę osnuwa bluszcz gęstym murem, i tu dzwonki kwiatów dźwięczą tak samo. Trzeba ich tylko umieć słuchać. Serce biednego Marosiniego ścisnęło się dziwnie. Może dosłyszał tajemnego dźwięku kwiatowych dzwoneczków.

Poza domkiem była altana. Tysiące róż ją przystrajały, a legiony muszek i chrabąszczy krążyły ponad niemi. Każda z róż miała osobnego swego nadwornego strażnika.

— Co ci jest, czemu tak szarpiesz moją rękę?

— Tam ona siedzi — wybąknął Marosini z trwożliwością dziecka.

W istocie siedziała tam... Esre siedziała w altanie, plecami do nich odwrócona. Smukła jej postać była pochyloną, szyła coś bowiem, czy haftowała. Jedną nogę niedbale dla wygodniejszej pozycyi wsparła o pobliską gałąź, czego niebezpiecznem następstwem było, że ze zgiętego kolana suknia barwy granatu osunęła się cokolwiek, odkrywając prześliczną nogę. Było to olśniewające!

Albert skamieniał, Balduin natomiast zakradł się na palcach i z tyłu zakrył dłońmi jej oczy.

— Balduin! — ozwała się Esre. — Poznaję cię po ręce.

— I głos jej jest tenże sam zawsze — westchnął Marosini.

— Zgadłaś, teraz zgadnij jeszcze kogo ci przyprowadził.

— Ojca Ryszarda, sąsiada. Odśłoń mi oczy!

— Niepierwej, aż zgadniesz.

— Nie bądźże dziecinny, Balduinie. Któż to zatem być może? Pan Mileni z Bolonii?

— Nie, to nie on. Ale jest tu przyjaciel, najdroższy ci na całym świecie.

— Alboż mogę wiedzieć? — zawołała upornie i tupnęła nóżką. — Puść, bo cię ugryzę w rękę!

— Aj, nie wiesz nawet, kogo to kochasz najwięcej na całym świecie? Czyż ci nie szepcze serduszek?... cóż to, miałożby naraz stać się głuchem i niemem... Przyszły twój małżonek jest tutaj... Esre!

— Albert! — krzyknęła Esre, wydzierając się z rąk Balduina i w następnej już chwili zawisła na szyi Marosiniego.

Ten ścisnął ją z twarzą promieniejącą szczęściem. Widział słyssał wszystko, nic jednak nie rozumiał.

— Ona jest twoją, — rzekł Balduin smętnie. — I była też zawsze twoją jedynie. Kiedyś mnie ją oddał w Neapolu, była jeszcze dzieckiem. Samotność klatki nudziła ją, dla tego wybra-



ła się ze mną. Pragnęła nowości. Słowem: jest kobietą, ma więc kaprysy. Pojechała ze mną, ale pierwszego dnia zaraz na morzu spostrzegłem, że była smutną, że jej brakowało ciebie. Naza-jutrz dręczyła ją już nostalgia... Nim przybyliśmy do Werony, rozchorowała się i wyznała mi, że ciebie tylko kocha jedynie. Pojechałem natychmiast napowrót do Neapolu. po ciebie, ale tam już nie było i śladu po tobie...

— Możliweż to wszystko? Wielki Boże!—wybąknął Ma-rosini.

Esre patrzyła na niego wielkimi swemi czarnemi oczyma tak łagodnie, tak słodko, jak prawdziwa gołąbka, i skinęła śliczną główką tak uroczym na znak, że wszystko tak było istotnie, że Balduin mówi zupełną prawdę.

— Kazałem cię szukać wszędzie, Albercie,—ciągnął Balduin dalej,—aż wreszcie dziś na placu egzekucyjnym cię odnalazłem. Ale chodź, niech ci wszystko opowiem! Z Esrą masz dość czasu jeszcze napięścić się dowoli. Życie jest dosyć długie...

Wziął Alberta pod rękę i opowiedział mu wszystko, co mu wiedzieć było potrzeba, jak zbudował dla Esre ten domek maleńki, całkiem taki sam, jak miała w Neapolu. Taką była wola Esre, by nigdy nie przestąpił progu klatki.

— Ach, Albercie, Albercie, podarowałaś mi niebezpieczną różę, której woń czułem codziennie, codziennie czuć musiałem, której przecież zerwać mi nie było wolno.

I z majątku Esre zdał niemniej sprawę.

— Sumiennie zawiadowałem nim na wasz rachunek i z nie-małem szczęściem do tego. Śmiało utrzymywać mogę, że w We-ronie niema zapewne bogatszego od ciebie człowieka.

I na tem koniec pierwszej opowieści. Esre i Albert zostali małżeństwem i niezawodnie po dziś dzień żyliby szczęśliwie, gdyby nie to, że—umarli.

Czytelnik wszakże powie może:

— Nie umarli, bo *nie istnieli nigdy*. Na ziemskie życie zbyt byli szlachetnymi. Cierpieli na wybujałą szlachetność i wybu-

jałe uczciwości poczucie. Jeden oddaje narzeczoną drugiemu, jakkolwiek kocha ją głęboko; drugi zaś oddaje mu ją, uszanowawszy jej niewinność, jakkolwiek kocha ją niemniej gorąco. Majątek jej natomiast podwaja. Pieniędzy nie kochał żaden z nich obu. Jeden chciał za drugiego umrzeć śmiercią katowską. To śmieszne! Ci ludzie tak są dobrzy, że nawet morderca wśród nich jest jeszcze uczciwym.

Poeta odpowiada na to:

— Tym ludziom nie brak absolutnie nic innego, prócz chyba tego, że liczą już czterysta lat wieku.

I po krótkim tem wyjaśnieniu, odrzuca na bok przestarzałe swe gęsie pióro, wsadza w obsadkę polyskującą stalówkę, zdejmując z oczu okulary, przez które jego przodkowie, dawni pisarze, przypatrywali się światu, i gołem, swobodnem okiem poczynają pisać następną opowieść.



## DRUGA NOWELLA.

Przeskoczmy lat czterysta.

Hop! hop! stańmy w Peszcie. Szczerze mówiąc, słaby za-  
ledwie zachodzi związek między obu nowellami.

W każdym razie wszakże zatrzymujemy się w bardzo nie-  
właściwym miejscu, bo Peszt nie nadaje się zbyt na materyał  
do takich rzeczy nadzwyczajnych, które opłaciliby się autorom  
opisywać. Odgrywają się i tu romanse, ale wie o nich każda stara  
baba w całym mieście: paprykowane dramaty, samobójstwa z mi-  
łości, zaginieni synowie, uprowadzone córki i tego rodzaju okle-  
pane, powszednie historie.

Peszt jest przezroczystym miastem—iście, jak ze szkła. Nie  
jest dość wielkiem na to, aby autorowie w nieprzejrzanej ciemnicy  
labiryntu jego domów znajdowali karm obfitą dla swej fantazyi,  
do tego wszakże jest dostatecznie wielkiem, aby wszelkiego ro-  
dzaju gnomy, chochliki były z niego wygnane. Nie podobna  
utrzymywać nawet, że duchy o oznaczonej godzinie, punkt o pół-  
nocy stawiają się na Wacowskiej ulicy naprzykład, kiedy w ma-  
łych miasteczkach, jak Szeut Mihaláyfalva lub Bagyon, najspoko-  
jniej mogą opuszczać groby i pojawiać się w duchów godzinie.  
Z Pesztu mistycyzm wygnanym jest z tego już choćby powodu,  
że tramwaj nie kursuje o dwunastej na Kerepeskiej ulicy, du-  
chy zaś nie miałyby niezawodnie ochoty tak daleko wlec się do  
miasta piechotą. Z kosza z rekwizytami poezyi brak tu już  
bardzo wiele: niema tu woni kwiatów, niema rosy, niema śpiewu

ptaszat. W miejsce rosy panuje piasek, miejsce kwiatowej woni zastępuje wyziew mydła i nafty, zamiast śpiewu ptaków dominuje katarynka.

I ty, jowialny, swawolny, ale dobroduszny Koku, który razyleś swych bohaterów zawsze świetnemi kolacyami w najrozmaitszych restauracyach Paryża, sądzisz może, że u nas mógłbyś puścić wodze twym wargom, że mógłbyś snuć również swobodnie wątek twych powieści? Wygnaj myśl taką z głowy bezpowrotnie, zacny czleku pióra, bo temat powieści, któryby u nas naprzykład odgrywał się w restauracyi Szikszay, wywołałby na usta czytelnika uśmiech, litosny, co się bowiem u Szikszaya dzieje, o tem wie każdy „sztamgast“ tej jadłodajni stokroć lepiej, niż autor.

Któż uwierzyłby naprzykład w dramata, odgrywające się w hotelu „Królowej angielskiej?“ Wszakże znamy każdego, co tam bywa; na górze, na pierwszym piętrze, znamy wybornie ten stół szeroki, u którego zwykł był zasiadać Franciszek Deák, a gdzie i dziś jeszcze schodzą się na kolacyę posłowie, którzy w spadku po Deáku, wzięli tylko ten stół właśnie. Na dole w wielkiej parterowej sali zabawia się przy dźwiękach cygańskiej kapeli, co wieczór, bogate, ale niekoniecznie dystygnowane towarzystwo stolicy. Jedzą roastbeef i powtarzają giełdowe i polityczne nowiny wieczornych wydań gazet, dziś, jak jutro. Tak to wciąż idzie, dopóki nie przestaną zjawiać się zupełnie.

Bo w końcu nie zjawiają się. Peszteńskie restauracye posiadają wędrowną ludność gości, bo tu wszystko ciągnie za „herbem.“ Bogaci uczęszczają do „Królowej Angielskiej“ dla tego, że tam, przed niedawnym czasem uczęszczali arystokraci. Tam jeść kolacyę należy do „chic'u.“ Ale arystokraci bawią się z bogatymi w chowanego, arystokraci uciekają stamtąd, gdy ich wytropili bogacze i ukrywają się gdzieindziej znowu. Plutokracja odkrywa ich ponownie, i tak ciągnie się ta historia do nieskończoności, aż wreszcie przed mieszczańskimi oczyma uda im się zniknąć całkowicie poza marmurowemi wschodami szlache-



ckiego Narodowego Kasyna. Szklane drzwi zamykają się za nimi—i kończy się gra w chowanego.

Bogatyń natomiast szukają zamożni. Ci ostatni przychodzą zazwyczaj wtedy, kiedy bogaci opuścili już stoły, przekonawszy się, że arystokratów już się tu nie spotyka. Za zamożnymi gonią ambitni ubodzy, którzy również za późno już przychodzą, bo tamci na nowym są tropie za bogaczami. I niespokojna ta gorączkowa wędrówka trwa wciąż nieprzerwanie.

Pośród tego małpowania, tego szalonego pięcia się w górę, wielu z tych ludzi pada na ziemię. Rozlega się strzał rewolwery, lub zgrzytnie klucz w drzwiach więzienia. To są nasze dramata!

Piękne kobiety kochają i całują; i tu również jest wiosna. Latem i zimą rozwijają się pączki i kwiaty wędną, w sztuczny wszakże, cieplarniany sposób. Amor naciąga łuk swój, ale bez dawnej figlarności. Strzały jego prują to tu, to tam powietrze, ale wymierzane bywają trafnie—wprost do celu: nie padają fantastycznymi drogami. Ludzie kochają i tutaj, ale o ile można bez wszelkiego ambarasu, wygodnie. A wszakże te „ambarasy“ właśnie byłyby owym miodem, w którym tak chętnie maczają pióra swe poeci!

I towarzyskiego życia brak tu zupełnie. Na małomiasteczkowe—węgierska stolica jest już za wielką, na wielkomiejskie—jeszcze za małą.

Piękna młoda stolico Węgier, tyś zaprawdę podobna do podlotka, do czegoś przejściowego, niewykształconego jeszcze! Nie jesteś już tak naiwną, aby być przez to uroczą, a nie dostatecznie jeszcze rozwiniętą, aby módz być powabną. Raz przywdziewasz długą dorosłych suknię, to znowu krótką, codzienną podlotka spódniczkę.

Dla tego też pisarze nie zajmują się tobą zbyt. Jedno jedyne masz miejsce: „Kiosk Rémi,“ gdzie powieść poniekąd przyzwolicie rozpocząć się może pod cieniem karłowatych akacyi, przy szmerze fontanny. Na tej jednej jedynej piędzi ziemi, oko

napaść się może widokiem zarówno księżniczek i hrabianek, jak przekupek. Piędź to ziemi wydarta z raju i tu przeniesiona. Awanturnicy, rycerze przemysłu i — wielcy kraju siedzą tu w pstrokatej mieszaninie na trzcinowych krzeselkach. Garsoni uwijają się tam i napowrót, dźwięczą łyżeczki w szklankach, żwir zgrzyta pod nogami przychodzącej i odchodzącej publiczności. Wesołe śmiechy rozlegają się ze wszęch stron, słyhać szelest jedwabnych sukien.

Byłbym niedorzecznym, gdybym nie miał tu rozpocząć mojej nowelli.

Dwu młodych ludzi siedziało obok siebie przy stoliku. Pograżeni byli w poufnej rozmowie.

— A zatem obowiązujesz się?

— Oczywiście.

— Jntro cię jej przedstawię.

— O której godzinie?

— W południe pójdziemy tam z izby poselskiej. Będziesz w sejmie?

— Czy będzie głosowanie?

— Zdaje mi się, że tak.

— Czy ładna twoja narzeczona?

— Tak sobie, ujdzie.

— A czy bogata?

— Liczę ją, tak mniej więcej, na sto tysięcy guldenów.

— Sapristil

— A co najważniejsza, jest sierotą; z tego powodu otrzymuję zaraz pieniądze do ręki.

— To znakomite, doprawdy! A jakimże sposobem trafiłeś do niej?

— Przez jej opiekuna. Był on jej opatrnością. Ta opatrność przypadkiem była moim adwokatem, który podczas wyborów do sejmu żyrowała za mnie ośmdziesiąt tysięcy guldenów i który następnie dręczony był co do tej sumy niepokojem. Opatrz-



ność zatem „przejrzała“ własną korzyść w przeznaczeniu dla mnie Estery.

— I któż to jest ten uczciwy adwokat?

— Stary Daniel Szabol nasz kolega z sejmu.

— Tak? Ten stary lis. I dziewczyna cię kocha?

— Czy mnie kocha?—z całą otwartością wybuchnął zapytany.—A skądżebym to mógł wiedzieć? Przypuszczam, że mnie kocha, jak przypuszczam, że mnie kochają moi wyborcy, boć mnie przecież wybrali.

Młodzi ludzie zapłacili i wyszli.

Przy sąsiednim stoliku siedział jakiś pan starszy wiekiem pośród młodych kobiet, które spytały go ciekawie:

— Kto to byli ci panowie?

— Ten młody brunet nazywa się Stefan Altoryay, ten właśnie, który się zaręczył z panną Esterą Wilner; ten przystojniejszy, blondyn, to był Piotr Korláthy.

— Posłowie?—spytały panie.

— Tak, posłowie i „mężowie dążności“,—odpowiedział z dobrodusznym spokojem ów pan starszy.

Ponieważ znaczenie nazwy „mąż dążności“ nie zostało objaśnionem przez nikogo (uwaga pań bowiem skoncentrowała się nagle na koronkach i dyamentach wchodzącej właśnie z córką swą jakiejś hrabiny), przeto ja postaram się zapełnić tę lukę.

„Mąż dążności“

„Mąż dążności“ dąży po prostu; dąży zawsze, dąży do wszystkiego! Dąży, gdy śpi, bo i wówczas jeszcze ma jedno oko otwarte; dąży, gdy się przyznaje do jakichś dążeń, i dąży, gdy się ich wypiera.

„Mąż dążności“ istnieje po to, by dążył, lub po to, by się o niego ubiegano. Zrodził się do dążenia w górę.

Filokserę znajdujemy tylko na winnej latorośli, gąsienicę na liściach drzew wyłącznie, ale „męża dążności“ wszędy. Filoksera i gąsienica istnieją z jakiejś logicznej przyczyny. Na-przód wyrasta liść drzewa, potem dopiero gąsienica. Tu wszak-

że zmienia się świata porządek. Naprzód urasta „mąż dążności,” a po nim dopiero wyrastają liście. Zagłębiając się w subtelne odcienia bytu, śmiało utrzymywać możemy, że gdyby floksera miała sobie przeznaczonem ogryzanie liści, gąsienica zaś podjadanie winogron, żadna z nich nie objęłaby zakresu działania drugiej, aniby weń się wdzierała; „mąż dążności” wszakże nie stoi tak uparcie przy swoim: jemu wszystko jedno co obra-bia, byleby miał co obrabiać.

Jeśli wszakże mężowie ci wszędzie, bez względu na teren, wyrastają, jak grzyby, mają oni przecież żywioł przedewszystkiem sobie właściwy, żywioł, w którym rozrastają się i tyją: *parlament*. „Mąż dążności” z poczwarki zamienia się dopiero w motyla, gdy zostanie posłem. Poseł i mąż dążności! Cóż to za wymowne stanowisko! Każdemu wolno domyslać się Bóg wie, jak szczytnych celów, do których skierowane jest dążenie. Dawniej był przodownikiem „mężem dążności” dla tego może, że jeszcze *nie był* posłem, dziś jest nim dla tego, że *jest* deputowanym. Czynność tego „dążenia” podobną jest do pierścienia: nigdzie się nie poczyna i nigdzie nie kończy.

O, wy szczęśliwe gąsienice, którym na karm dane zostały liście drzew. Póki one istnieją, od razu znajdujecie je przy pierwszym zbudzeniu się ze snu natury po wszystkich polach... Biednego „męża dążności” nęca one tylko wiecznie zdala, uśmiechają się do niego zwodniczo—te liście, rzadko jednak zdoła on ich dosięgnąć...

Ale stójmy, to jest idźmy dalej! Objaśniając pojęcie „mąż dążności,” niemal zapomniałem, że czytelnik właściwie domaga się dalszego ciągu powieści.

A zatem, po długiej tej gadaninie, pewnikiem jest już, że Altoryay się żeni, a Koriłathy przyjął na siebie obowiązek drużby. A że za naszych czasów autor wszystko umotywować musi, zawiadamiam, że Altoryay dla tego się żeni, iż przypadkiem złota rybka wpadła w jego sieci, a Koriłathy dla tego przyjął godność drużby, ponieważ w sam raz właśnie sprawił sobie piękny,



wiśniowego koloru kostium narodowy węgierski, który warto ukazać zebranej w kościele publiczności. Zresztą, obaj ci panowie są najserdeczniejszymi przyjaciółmi. Przyjaźń ich nie ukazuje się w przesadnych słowach lub czynach (tak, jak w powyższej, niedorzecznej pierwszej nowelli), bo słowa ulatują, czyny się zapominają, tylko *scripta manent*, pismo zostaje; a zatem dowodem ich przyjaźni są niezliczone weksle, na których imiona ich obu figurują obok siebie, raz jednego na górze, drugiego na dole, to znowu w przeciwnym porządku.

Opuszczając kiosk, rozstali się z sobą:

— Zatem jutro, do widzenia!

Piotr siadł do dorożki i pojechał w kierunku miejskiego lasku, Altoryay zaś zawrócił i podążył do klubu. W klubie jednakże dziwnie nudne dziś było popołudnie. Z ministrów nie było tam ani jednego. Czasami tak to już się złoży. W takich razach usposobienie ogólne bywa wielce ponure i ciemność zalega obszerne apartamenta. Słońce nie świeci, twarze nie błyszczą.

— Co to, dziś niema ani jednego ministra!—wołają podwładni mamelucy, zacierają ręce, poziewają i wciąż spoglądają na drzwi.

Jednego z ministrów szukał tu także i Altoryay, aby mu najświeższe opowiedzieć ploteczki, powtórzyć obiegające *bons mots* i polityczne pogłoski, te wszystkie osobliwe „pikantnego“ smaku łakocie „zielonego stołu.“

— Z pewnością dziś gdzie jest jaki bankiet,—radzą między sobą członkowie klubu.

— Może już wcale dziś nie przyjdą!—rozlega się tu i ówdzie w smutnym, melancholijnym tonie.

I targowisko poczyną się rozpraszać. Bo i cóż jest wart targ, gdy niema kupców?

Ach, cóż to za czasy! Młodzieniec nie marzy o tem, jakby mógł w noc księżycową przy szmerze strumyka przechadzać się po operlonych rosą polach z uroczą swoją jasnowłosą dziewczyną, gdy na niego księżyc tymczasem melancholicznie z poza

drzew poglądać będzie... Młodzieniec marzy o tem, by pójść do klubu, by tam Jego Ekscellencya wziął go pod ramię, wciągnął w niszę okna: „Siadaj obok mnie,—szepcze Ekscellencya, gdy tymczasem serce młodzieńca bije przyspieszonym tętnem,—chciałbym w tym lub owym przedmiocie naradzić się z tobą.“ Ach, jakież to urok w takiej przemowie!

Altoryay, nie znalazłszy sobie partyi (po ministrach „Skis“ jest głównym przedmiotem adoracyi), bierze za kapelusz i idzie do narzeczonej. Popołudnie trzebaż gdzieś zabić wreszcie.

Esztika była w domu. Śliczniutkie to stworzenie, z blond loczkami, sprytne, pełne swawoli i dowcipu. Mogłaby być nieco większą, ale i tak, jak jest, ładniutka; istna laleczka z cukru, którą tak żywcem możnaby postawić na torcie, a co się tycze jej zadartego noska, to już chyba najrozkoszniejszy, najgodniejszy uwielbienia nos na całym świecie!

— Skądże to spadasz pan, jak z nieba, w tak niezwyklej porze?

— Przychodzę z klubu. Może luba moja Esztika gniewa się, że przychodzę nie w porę?

— Przeciwnie; bardzo dobrze, że pan tu jesteś. Chciałabym gdzieś iść z miasta, pośród zieleni. Potrzeba mi do tego asystenta.

— Jestem do usług. Pod jednym wszakże warunkiem!

— A ten byłby?

— Żebyśmy nie brali z sobą towarzyszek pani.

Esztika włożyła śmiesznie malutki swój paluszek między ząbki, cmoknęła filuternie i zawołała z uśmiechem.

— Tylko tyle, zresztą o nic więcej panu nie chodzi?

Altoryay zaśmiał się głośno.

— A więc, siadaj pan, póki nie włożę kapelusza i płaszczyka, i póki *madame* nie będzie gotową.

— Ach, to potrwa całą wieczność!

— Pięć minut, zapewniam,—z pięciu minut zrobił się jednak kwadrans, nim *madame* i Esztika ukazały się gotowe już w salonie.



Mały biały słomkowy kapelusik, otoczony wiankiem konwalii, był jej nadzwyczaj do twarzy.

— A zatem, dokąd idziemy? Na wyspę?

— Ale, dajże pan spokój! Ta nudna przeprawa parostatkami! Któżby tam szedł na wyspę?

— A może do parku?

— Ani myślę.

— To możeby do miejskiego lasku?

— Dajże pan temu pokój! Wcaleś pan nie pomysłowy!

— Boże mój, przecież nie mogę dla pani odkryć jakiegoś nowego lasu. Nie jesteśmy w państwie Kongo, tam byłoby coś podobnego możliwem. Tu już odkryto wszystko.

— Tak i to nawet, że z pana jest złośliwiec,—mówiła Esztika ze śmiechem.

Koniec końców poszli jednak do miejskiego lasku. Nad stawem, przyglądając się łabędziom, spotkali Piotra Korlathy; rzucił okiem na uroczą narzeczoną i wprost, śmiało podszedł ku nim. Niepodobieństwem już było go nie przedstawić.

— Piotr Korlathy, poseł i..

— Drużba,—dodał Korlathy z uśmiechem, skłoniwszy się głęboko.

Esztika podała mu rękę.

— Mówiliśmy właśnie o pańskiej jutrzejszej wizycie,—rzekła.

— Rzadko zdarza się, by dzień dzisiejszy dawał nam już to, co nam przyrzeka jutro.

Estera zauważyła od niechcienia:

— Niemniej przeto i *jutro* powitamy pana serdecznie.

— Naszym obowiązkiem jest posłuszeństwo,—odpowiedział Korlathy.—Czasami bywa to obowiązek niewygodny, czasami wszakże wielce korzystny.

Korlathy był pięknym smukłym mężczyzną, z wzięciem dystygowanym, sympatyczny, z twarzą o poprawnym owalu, pięknym podkręconym wąsie, a przytem wiecznie wesoły i dowcipny.

— Zostań z nami, jeśli masz czas,—odezwał się Altoryay.— W klubie i tak nikogo dziś nie znajdziesz.

Spacerowali dokoła stawu. Przyjemny mrok letni zapadał zwolna. Dźwięki muzyki dolatywały łagodne z dala, z wyspy. Do tych dźwięków łączył się gwar zmieszany, dochodzący od strony bud z widowiskami, gdzie się zabawia pospólstwo. Po stawie ślizgały się łódki cicho, jak cienie.

— Późno już,—przemówiła *madame*.

— Nie dostaniemy potem dorożki,—dopomagał towarzysze Altoryay.

— *Jeden* wóz pozostanie nam z pewnością, wóz wielkiej niedźwiedzicy. Na nim możemy powrócić do domu. Stefan oponuje, bo nie umie wiosłować. Wybierz pani łódkę, okrążymy bodaj raz staw dokoła. Ja będę woźnicą pani na wodzie.

Spojrzenie Estery padło na zgrabny maleńki bacik, wąski zaledwie na dwoje. Wsiadli w niego Piotr i Estera.

Piotr z początku wiosłował dość niezręcznie, łódka przechyła się na prawo, to na lewo.

— Ach, ja się boję,—krzyknęła Estera.

— Czego się pani boisz?

— Tu utonąć można.

— O, skądżeby? Mnie strzeże moja nietykalność poselska, a pani ja strzęgę.

— Nie papłaj pan tyle, a lepiej uważaj dobrze! Ach, jakież pyszne powietrze!

— A cóż dopiero tam na środku stawu.

— Co, popłyniem aż do środka? Ależ staw jest duży.

— Ja pragnąłbym, żeby się ciągnął do Czarnego morza.

— Na cóżby się to panu przydało?

— Bo wówczas musielibyś my aż tam dopłynąć. Panibym nie wysadził pierwej.

Gawędził tak dalej, aż nagle podchmielony jakiś rzemieślnik, który woził po stawie swą Dulcynę, zahaczył nieopatrznie o wątył, filigranowy ich statek.



— Jezus, Marya! — krzyknęła Estera.

W pierwszej chwili łódź byłaby się wywróciła. Esre... chciałem powiedzieć Estera, byłaby wpadła do wody, Piotr byłby uratował zemdloną, nad brzegiem stawu znalazłaby się jakaś chata, zamieszkiwana przez staruszkę, której twarz pomarszczona budzi w każdym zaufanie, tam byłaby zdjęła z siebie przemokłe suknie i osuszyła je przed ogniem (falowanie śnieżystych jej piersi byłbym opisał przynajmniej na dwu stronicach), jednym słowem, byłaby zasnęła, a zwolna budząc się, byłaby z ciężkiem spytała westchnieniem: „A gdzie on, mój wybawca?”

Tym razem wszakże łódź tylko przechyliła się na bok nieco, kilka litrów wody opryskało siedzących, niemniej przeto wyłękła się Estera okropnie, a w swym przestachu chwyciła się szyi Piotra, który niemniej się przeraził i z trwogi wypuścił wiosło z ręki.

— Niezgrabnyś pan, jak pawian, — irytowała się Estera, kiedy już łódź poczęła płynąć spokojnie. — Prędzej, dowieź mnie pan do brzegu! Prędzej, ale prędzej, rozkazuję!

Piotra dotknął widocznie więcej ton, niż słowa tego rozkazu. Był nim urażony. Nie wyrzekł i słowa na swe usprawiedliwienie.

— Zniszczyłeś mi pan do szczytu suknię, — irytowała się i grymasiła Estera.

W istocie woda, co się dostała do łodzi, przemoczyła lekką sukienkę jasną Estery w lila kwiaty tak, że przezroczyście niemal przylgnęła do jej kolan i można było bezkarnie podziwiać uroczne kształty.

*Madame* i *Altoryay*, którzy widzieli tylko, jak Estera rzuciła się na szyję Piotrowi, nie mogli pojąć, co się to stało.

*Altoryay* poglądał na *madame*, ta znów na niego i *madame*; poczęła, jak zwykle, ilekroć była zmieszana, mówić po francusku:

— Nie mogę tego pojąć zgola, *monsieur Pista*, ale wszystko to da się wytłumaczyć tem poniekąd, że panna Estera jest żołnierskiem dzieckiem. Stary huzar kołysał jej kolebkę. Ten psuł ją, rozpieścił i zawsze z nią się bawił. Stary *János*, który

do dziś dnia jest jeszcze u nas... Nieboszczyk pułkownik wyznaczył Janoszowi pensję dożywotnią, aby do śmierci pozostał przy jego córce. Od tego starego huzara ona nabyła wielu nawyków, które bynajmniej „*chic*“ nie są. Dobrze to, kochane dziecko, ale ma masę kaprysów, które jej stary Janosz wbija do głowy. I teraz będzie to niezawodnie coś w tym rodzaju. Ach, gdybyż od początku dostała się była w moje ręce, ha! wtenczas byłoby całkiem co innego...

— Oczywiście, oczywiście, — odpowiadał Altoryay roztargniony.

Tymczasem łódka dobiła do brzegu. Drobniutka Eszti wyglądała zwodniczo w przemokłej swej sukience, jak prawdziwa rusalka.

— Na miłość boską, przeziębisz się pani! Drżysz już z zimna. Czemp prędzej szal, *madame Lucy!* nie patrz tak pani, tylko pomagaj! Cóż u diabła stało się, wszakże ona przemokła zupełnie?

Esztika rzucała na Korláthego zabójcze spojrzenia, ale do gniewu jej poczynąło się już mieszać nieco żartobliwości.

— To on temu winien.

— No, no, nieszczęście nie jest znów tak wielkie. Tylko dobrzeby było dostać jak najprędzej dorożkę, bo tak niepodobna, aby szła pieszo. Proszę cię, Piotrze, bądź tak łaskaw dostań nam skąd dorożkę, my tymczasem dojdziemy do drogi!

Esztika opowiedziała zdarzenie, które im się przytrafiło, że łódź omal się nie wywróciła, że byliby wpadli do wody bez ratunku, gdyby nie była chwyciła się szyi Korláthego.

— A, to już mniejsza, — pocieszał ją Altoryay, — szczęśliwie minęło niebezpieczeństwo, a przynajmniej masz pani teraz słabe wyobrażenie o rozbiciu się okrętu. To mnie boli tylko, że w ten drugi świat, do aniołów, chciałaś się pani dostać na szyi Piotra.

Estera głośno rozśmiała się z tego żartu.



— Skoro w pośpiechu żadnej innej nie było furmanki,—wpadła w ton żartu narzeczonego.

Powóz zajechał tymczasem, ale bez Piotra.

— A gdzież został ten pan, co tu przysłał powóz?—spytał Altoryay.

— Siadł do drugiej dorożki i pojechał do miasta.

— I nawet się nie pożegnał. Dziwna rzecz!

— Pogniewał się na mnie,—zauważyła Estera,—niezawodnie pogniewał się na mnie!

— Cożes mu pani zrobiła?

— W gniewie nazwałam go niezgrabą, pawianem.

— W takim razie istotnie jest pawianem, skoro się mógł o to obrazić. Mnie to jest przykrem jednak. Muszę postarać się jakim sposobem przejednać pocziwego chłopca.

— Ale jakby?

— Pomysłowa główka pani już tam co wynajdzie. Przewszystkiem zaprosz go pani na jutro do wuja Dani na obiad.

I tak się stało. Wuj Dani (to jest Daniel Szabo, ów wspomniany już adwokat i poseł, opiekun Estery), pochwycił nazytuz Korláthyego w kurytarzach parlamentu.

— Jak słyszę, pogniewales się wczoraj na moją pupilkę. Ona sobie życzy pogodzić się z tobą. Poleciała mi, bym cię dziś do nas przyprowadził na obiad. *Notabene* sama go gotuje.

— No, to chciałbym spróbować, jaka to z niej kiedyś będzie gospodyni.

Przypadek zdarzył, że na ten obiad nie mógł przyjść Altoryay. „Najświętsza“ przeszkoda stanęła mu w drodze. Przybyli jego wyborcy.

— Dziś ze mnie komisyoner, Dani Bácsi. Proszę cię wy mów mnie tam przed Esterą.

Wyborcy Altoryaya przybywali rzeczywiście tym razem bardzo nie w porę. Eszti pokazała prawdziwie, co umie w kulinarnym zakresie; smaczny to był, znamienity obiadek. Zupa z szynki z szampionami, pieczeń wołowa zewspaniałym sosem,

szczupak z chrzanem, młoda wieprzowina i makaron „à la Kapri.“ Takie potrawy niegdyś zwykli zjadać tylko bogowie na Olimpie (?). Oczywiście nie brakło też i nektaru. Dobre wina Erlauer i Visonta. Stary Janosz napełniał pilnie kieliszki.

Po obiedzie przyniosła Eszti papierosy, i podawszy Korláthemu, sama zapaliła z kokieterią najcieńszego.

— Zapalmyż tedy razem przyjacielską fajkę, na znak zgody, jak dzieci.

Na języczek dostawało jej się co chwila jakieś żdźbło tytulinu, dym wchodził jej w nos, kichała i wyprawiała najpocieszniesze miny. Była istotnie nieopisanie milutką.

— Ależ połóż to pan!

— Ach, nie!... wypalę cały — dla pana.

Oczy wuja Dani malały z każdą chwilą, poziewał, skarżył się, że mówcy przedpołudniowego posiedzenia usposobili go do snu, aż wreszcie wielka jego głowa pochyliła się na stół, i Piotr pozostał sam już z Esterą zupełnie; żadna walki bowiem *madame* wybiegła na jakieś z zewnątrz dobiegające, a wielce podejrzane szczerkanie talerzami, jak rozdrażniony smok, wprost do kuchni, by tam łąać służbę.

Rozpoczęła się swobodna, przeskakująca z przedmiotu na przedmiot rozmowa. Wyszły na plac wszystkie te drobiazgi, które głowy młodych dziewcząt wypełniają najwięcej. Co dziś grają w teatrze? ile ten lub ów przegrał w kasynie? kto płaci rachunki aktoreczki X? jakie też plany na przyszłość może mieć Bismarck?... nie, chciałem powiedzieć właściciel pierwszego magazynu mód.

Piotr ze swoim fotelem przysuwał się coraz bliżej do fotelu, na którym siedziała Estera. Podróż na około stołu. Rzecz ni do odrzucenia wcale. Coś takiego może w rezultacie pozostawić najprzyjemniejsze z podróży wspomnienia.

Naprzód zrobił z chleba małą kuleczkę. To był pierwszy pocisk. Amor, starożytny Amor, niegdyś posługiwał się strzałami, nowoczesny próbuje kulek z chleba.



Eszti zamigotały śliczne oczy, kiedy rzucił w nią tą kulką.

— Widzę, że się pan już nie gniewasz.

— Nie myślałem gniewać się zupełnie, zapewniam panią.

— Czemuż więc pan spuściłeś tak nos na kwintę?

— Bom był zły sam na siebie.

— A to znów za co!

— Miałaś pani zupełną słuszość, że ze mnie niezgrabny pawian.

— Ależ nie bądź pan tak okrutnie otwartym!

— Bo gdybym wówczas, kiedyś mnie pani chwyciła za szyję, nie był istotnie pawianem, osłem, powinienem był cię ucałować.

— Ale, ale! Skąd panu przychodzą takie głupstwa do głowy?

— Przez całe życie będę gorzko wspominał tę głupią chwilę.

— Biednyż z pana, nieszczęśliwy człowiek, — docinała filuternie Estera. — Możeby włożyć panu do kawy trochę cukru na osłode

— Proszę...

Estera wyjęła z srebrnej cukierniczki kawałek cukru i z pewną ironiczną swywolą wrzuciła go do filiżanki Korláthego.

Kiedy prześliczne jej ramię deflowało przed Piotrem, gdy się zobaczył wysuwające się z poza swego ramienia, oczy jego poczęły błyskać iskrami, ponętna woń młodej kobiecej postaci upoiła go, i było to dziełem jednej sekundy: ugryzł ją zębami w to ramię białe, czarujące.

Chciał pocałować, ale gryzł, jak zwierzę. Zęby Piotra zanurzyły się z rozkoszą w to słodkie ciało,

— Co pan robisz, czyś zwaryował?

— Tak, zwaryowałem, — dyszał ściszonem głosem, z płonąca twarzą. — Ubóstwiam panią!

Estera, przestraszona, chwyciła za dzwonek i zadzwoniła silnie.

Wuj Dani zerwał się z drzemki i mruknął, przecierając oczy;

— A więc głosujemy!

Śniło mu się, że jest w parlamencie, i że prezydent dzwoni na głosowanie. Stary Janos wpadł do pokoju.

— Co panienska rozkaże?

Wargi młodej dziewczyny drżały od wzruszenia. Piotr spuścił oczy w ziemię, jak winowajca, i czekał, aż Estera powie Janosowi, by go odprowadził do schodów.

Estera zawahała się na chwilę bezradna, potem wymówiła spokojnie:

— Janos Bácsi, podnieś-no zapalki, proszę cię.

Na szczęście spadły były zapalki i rozsypały się po podłodze, kiedy Estera wyrwała Piotrowi swe ramię.

Wuj Dani był zbyt wprawnym adwokatem, aby natychmiast nie dostrzedz podejrzanych symptomatów, kiedy zrywając się ze snu, uważnie rozejrzał się dokoła. Z oczu Estery sypały się iskry, twarz jej płonęła, jak róża, Piotr był pomieszany, obrus ściągnięty ze stołu, postument do zapalek stłuczony. Cóż dopiero, gdyby był zobaczył ramię Estery z śladami zębów!

Co to jest, co się to stało?—pytał żartobliwie.—*Canis mater*, co wy wyrabiacie dzieci?

Potem, mruczając pod nosem, począł sam dla siebie rozważać rzeczywisty stan rzeczy.

— Hm! Ten Piotr! Przekłety chłopak... zakosztowawszy kuchni młodej gospodyni, chciałby prawdopodobnie teraz jej samej skosztować!

Przypuszczenie to potwierdzała jeszcze ta okoliczność, że Estera wybiegła z pokoju, rzucając na Piotra ode drzwi wzrok gniewny, a kiedy odchodząc, i z nią chciał się pożegnać, oświadczyła *madame Lucy* tonem nosowym, oschłym, że pannę Esterę boli głowa, i że się już nie pokaże.

— Boli ją głowa, a więc jest rozgniewana, ale nie jednak nie zdradziła... Stąd wniosek, że jest przecież nadzieja!

Nazajutrz wynalazł w *foyer* parlamentu Piotr wuja Dani i rzekł mu:

— Słuchaj-no, wuju Dani! Dawaleś obiad dla Estery, aby



mnie z nią pojednać. Teraz daj jeszcze jeden, abym ją mógł pojednać.

— He, he, he! — zaśmiał się stary lis. — Dla czegoż nie miałbym dać obiadu, kiedy mi do tego przyjdzie ochota? Ale nie tędy droga, mój synku! Budzi się we mnie przypuszczenie, że zarzucasz sieć na tę gołąbkę. Klatka wszakże, w której ona siedzi, jest moją własnością, he, he he! Gołąbka zaś sama należy już do Pisty. Hm! Niema nic niemożliwego na świecie. No, jaką też prowizję dałbyś, braciszku, he, he, he!

— Swobodę oszukiwania w rachunkach, — żartował Korláthy, co jowialny jegomość wziął za dowcip tak kapitalny, że aż się cały trząsł ze śmiechu.

Proponowany obiad odbył się istotnie nazajutrz i Piotr odtąd też był bardzo częstym gościem w domu. Poczęło to nawet wpadać w oczy Stefanowi.

— Słuchaj-no, wuju Dani, mnie się postępowanie Piotra wcale nie podoba. W końcu gotów jeszcze zakochać się w mojej narzeczonej. Zawsze go tu zastaję, ilekroć przyjdę. Czego on właściwie chce u was?

Staruszek zaśmiał się dobrodusznie i wzruszył ramionami.

— *Inventus, ventus!* Godzą się, mój synu, *godzą się* z sobą! Nie troszcz się o to! Nigdy jeszcze nie widziałem tak zabawnych dwojga dużych dzieci. Wiecznie kłócą się z sobą i wiecznie godzą!

Grecya miała swych siedmiu mędrców, którzy mieli jedno jedyne krzesło, a na niem musiał zasiadać najmędrszy z nich. Każdy z tych siedmiu wyrzekał się tego zaszczytu, zdając go na innego. Był to kłopot niemały. U nas jest ośm krzeseł, po nożożytnemu fotelami zwanych, a natomiast jeden tylko mędrzec (częstokroć brak i tego jednego nawet). Kłopot przez to jest niemniej wielki, bo na tych fotelach zasadzać często trzeba takich, którzy nie są zbyt mądrymi, a ci niemądrzy nie są bynajmniej tak skromnymi, jak byli greccy mędrce. Żaden z nich nie

ustąpi krzesła drugiemu, przeciwnie, każdy, gdyby to było możliwem, siadłby na wszystkich ośmiu.

Był to czas właśnie, w którym poszukiwano ministrów. Gabinet miał się zrekonstruować. W klubie liberalnych wielkiej to wagi zdarzenie. Obóz mameluków w ciągłym jest wzruszeniu.

Najprzeróżniejsze kombinacye krążą w powietrzu.

I Altoryay dążył do czegoś. Do czego? Sam tego dobrze nie wiedział. Chciał tylko... Kto wie, jaki obrót przybiorą rzeczy? kto przewidzi, co w takich wypadkach stać się może? Skoro liście gruszy opadają, wichur zwykle unosi nasienne pyłki tu i ówdzie, w dalekie częstokroć okolice. „Mężowie dąžności“ łączą się z sobą, czepiają się wielkich, jak ciężarowy wagon przyczepia się do wagonu pierwszej klasy. Król wlecze za sobą szewca, szewc lisa, lis szczupaka...

Altoryay w klubie spędzał czas beczynnym, jakkolwiek ślub jego już za tydzień miał się odbyć. W ciągu dnia ledwie na parę minut miał czas pobiedz do narzeczonej. Godzien litości człowiek z pustym sercem, który najpiękniejsze skarby życia roztrwania! Wszakże najpiękniejsza poezya małżeńska leży w tych dniach niewiele—*przed* weselem. Miodowe miesiące są drzewem świadomości, tygodnie przedweselne drzewem przecucia. Na niem rosną najpiękniejsze owoce.

Tygodnie przecuć ubiegały dla Altoryaya: On nie zgola nie przecuwał.

Po południu w wigilię ślubu odwiedził narzeczoną. Wieczorem był w klubie, w nocy spał, jak najspokojniej; wstał wcześniej, zjadł śniadanie, przeczytał gazety. I znowu nowe kombinacye (te gazety kłamią, jak wysłużeni żołnierze!) Potem zaczął się ubierać. Włożył safianowe buty z ostrogami, aksamitny żupan z granatowemi guzikami, przypasał szablę, turkusami wysadzaną, i siadł do powozu.

Zegarek jego wskazywał dopiero pół do dziewiątej. Za wcześnie jeszcze. Esztika teraz dopiero się ubiera, teraz na złote jej, piękne włosy kładą wianek mirtowy. Tamby przeszka-



dzał tylko! Wuj Dani wylewa niezawodnie teraz łzy krokodyla, stary János kłóci się, družki, przyjaciółki świegocą, jak jaskółki.

A niech tam ulżą swym sercom! *Chacun son goût.*

Pozostaje mu w sam raz tyle czasu jeszcze, aby pojechać do Korláthyego i zabrać z sobą pana družbę.

Powóz potoczył się szybko po bruku. Wyobrażenia kształtowała łoskot kół w wyraźne niemal słowa: „Szczęśliwy śmiertelniku, szczęśliwy śmiertelniku!”

Hop, jesteście już u celu!

Altoryay wybiegł elastycznym krokiem, wbiegł po schodach, szabla brzęczy mu wesoło, jakby za każdym krokiem chciała powiedzieć: „Tu kroczy dumnie jaśnie pan Altoryay, poseł.” Przycisnął guziczek dzwonka u drzwi Piotra. I ten zdał się odzywać radośnie: „Dzień dobry, dzień dobry!” Chłopak, służący Piotra, drzwi otworzył.

— Pana niema w domu; odjechał.

— Odjechał? Rozum twój chyba odjechał, głupcze! Czy ty nie wiesz, kto ja jestem?

— Owszem, panie, wiem bardzo dobrze, pan jest pan Altoryay, ale pan mój niemniej przeto wyjechał.

— To niemożliwe! Wszakże wczoraj jeszcze byliśmy razem.

— W nocy pan odjechał.

— I miałby dla mnie nie zostawić żadnego listu, kartki?

— Nic, nie zupełnie.

— No, to szczególniejsze. Niepojęte!

Zeszedł, wstrząsając wciąż głową w zamyśleniu. Rzucił się do powozu i pojechał do narzeczonej. Będzie właśnie dziewiąta, nim tam przyjedzie.

Zastał wuja i *madame* w salonie. Chodzili po nim wzruszeni mocno i zafrasowani oboje.

— Stała się mała przykreść,—rzekł, wchodząc z kwaśną miną.

Oboje spojrzeli nań bystro.

— *Mała* przykreść? A zatem i ty wiesz już?

— Oczywiście. Was zatem przynajmniej zawiadomił? Cóż tak nagłego go zaszło?

— Ani śladu jakiego „zawiadomienia,“ o niczem nie zawiadomiono,—mówił wuj Dani smutnie.—Niech mnie ziemia pochłonie, jeśli przeczynał choćby cokolwiek. Prawdziwie, to okropne!

— Koniec końców, nie jest to znowu rzecz tak wielkiej wagi, wuju Dani. Trzeba tylko coprędzej postarać się o jakiego zastępcę. Nie masz pan kogo pod ręką?

Stary adwokat wpatrzył się w pana młodego zdumionemi oczyma i z gorzkim humorem wskazał mu ręką *madame Lucy*.

— Tu jest pan! Czy przystajesz?

— Pani za družbę? Czyś oszalał, wuju Dani?

— Zaczynam cię całkiem nie rozumieć, Pisto. Chyba nie jesteś przy zdrowych zmysłach. Ale nie dziwi mnie to nawet. Bo i któżby *to* był o niej przypuścił! Boże, komu byłoby to przyszło na myśl! Do diabła, wszystkie kobiety są jednego kalibru!

— O jakich kobietach pleciesz?

— O Esterze.

— Czy już gotowa jest z ubieraniem?

— Kto?

— Któżby inny prócz Estery?

Wuj Dani spojrzał znacząco na *madame Lucy*, potem wzruszył ramionami i zatarł ręce z gestem, jakby je umywał. Towarzyszka poczęła się czegoś domyslać. Koniec końców, taki Altoray nie jest przecież dwudziestoletnim studentem, którego jedna chwila pozbawiłaby miała rozumu. Tu musi zachodzić jakieś nieporozumienie.

— Zatem pan nie wiesz jeszcze, „o zniknięciu?“

— Do licha, wszakże mówię, że wiem już,—odpowiedział Altoray spokojnie.

Ten spokój znów był niepojęty dla damy do towarzystwa.

— Mo że i to pan wiesz, dokąd „wyjechano?“



— Nie, tego nie wiem; nie mi też na tem nie zależy. Dla mnie może to być Bóg wie gdzie; tyle pewna tylko, że z niego nędzne indywiduum.

— Z kogo?

— A o kimże innymbym mówił, jeśli nie o Korláthym.

— Nie można się z panem dogadać. Cóż się stało z Korláthym?

— Cóż u licha, czy nie o nim mówiliśmy dotychczas? Wyjechał gdzieś dzisiejszej nocy i zostawił mnie na koszu; muszę dopiero starać się o družbę.

W głowie *madame* poczęło się rozjaśniać.

— Ja wiem już, dokąd pojechał.

— I dokądże to?

— To całkiem jasne—zawołała żywo — wyjechał razem z Esterą.

Altoryay pobladł, oczy wybiegły mu na wierzch.

— Z Esterą! — wybąknął! — Na miłość boską, coś się stało z Esterą?

U drzwi wchodowych rozległ się dzwonek. Niezawodnie druchny lub drugi družba. Wuj Dani wybiegł naprzeciw nich, Lucy zaś objaśniła sytuację narzeczonemu.

— Toż już od kwadransa mówimy o niej, *monsieur*. Ale myśl pańska była wciąż zajęta panem Korláthym. Estera zniknęła dzisiejszej nocy. To fakt bez wszelkich komentarzy. Rano zastaliśmy jej łóżko nietknięte, i pomyśl pan, stary Janos uciekł z nią razem. Ja zawsze utrzymywałam, że ten człowiek to wielkie ladaco.

Altoryay upadł na krzesło, przyciskając rękoma skronie.

— Smutny wypadek, — przerwała milczenie *madame* współczującym tonem.

— Niezawodnie smutny, — powtórzył Altoryay głuchym głosem.

— Oczywiście, że smutny. Na moje stare lata zostać zupełnie bez miejsca.

Altoryay nie słyszał już, co mówiła dalej. W głowie mu szumiało, żyły na czole krew mu rozsadzała, wzrok jego był lodowato zimny, okropny, wargi poruszały się mimowolnie. Myślał głośno.

— Co za wstyd, co za wstyd!

(Nie mówił: „jaka boleść!“)

— Zabrała z sobą śliczną swą ślubną suknię jedwabną,— ubolewała *madame*.

— Co świat na to powie?—tak dalej snuł swe myśli.

(Co na to mówi jego serce, to nie wchodziło zupełnie w rachunek).

Jemu chodziło tylko o wstyd wobec świata. Co o tem mówić będą w klubie? co powiedzą na to ministrowie?

Niezawodnie śmiać się będą z niego. A co powiedzą wierzyciele? Ci z pewnością śmiać się *nie* będą. Wuj Dani załatwił sprawę z przybywającymi na wesele gośćmi, a potem z gniewem wpadł na Altoryaya.

— No, mój kochany panie, cóż teraz będzie? Co się stało, to się już nie odstanie. Byłeś najniezręczniejszym osłem; ty, nie tamten! Moje osmdziesiąt tysięcy guldenów pojechało teraz również. Kiedy z ciebie taki straszny polityk i dyplomata, wymyślże co tu teraz robić?

— Ja wiem co zrobię,—dyszał Altoryay przez zęby.—Zabiję łajdaka! Wynajdę go, choćby pod ziemią!

Nie trzeba było bynajmniej zbyt długo szukać Korláthego i Estery. Wzięli ślub w Preszburgu, spędzili kilka dni posłubnych w Wiedniu, a potem jak najspokojniej wrócili do Pesztu.

Pewnego dnia Altoryay stanął, jak wryty ze zdumienia, ujrawszy w klubie przy jednym ze stolików Korláthego, grającego w taroka. Zapowiadał w tej chwili właśnie Pagat Ultimo i grał z niezmierną uwagą. Stary nadżupan Gravinczy (jeden z partnerów) ciągnął zawzięcie cygaro, próbował oczyścić cygarniczkę, wreszcie wydmuchnął z niej resztkę portorica ku sufitowi, przyczem długą swą krzywą szyję wyciągał w górę za-



wzięcie; cały ten manewr cygarowy miał na celu możność przytem wyciąganiu szyi zajrzenia niezbyt znacznie w karty przeciwnika, był bowiem w największym kłopotcie, co ma „deklarować,” kiedy tymczasem drugi partner, wdychając głęboko, liczył punkty.

Altoryay wprost postąpił ku stolikowi. Korláthy spostrzegł go, drgnął cały, w pomieszaniu patrzył w karty, dopóki jasno nie sformułował, jak mu się zachować należy. Bądź co bądź zajdzie, on wszystko przyjmie z uśmiechniętą miną. To najnaturalniej będzie, a i najlepiej w ogóle w każdej sprawie umieć wynaleźć humorystyczną stronę. Bo też w gruncie rzeczy, jeśli się zechce na to zapatrywać z właściwego stanowiska, cała ta historia była po prostu żartem.

Z cynicznym śmiechem wyciągnął do Altoryaya rękę:

— Jak się masz, Pista! *Quo modo valet?*

Altoryay zmierzył go piorunującym, zimnem spojrzeniem i wzburzony położył rękę na ramieniu Gravinczyego.

— Jak możecie zasiadać do kart z tym nędznikiem, z tym łajdakiem?—wymówił, głową wskazując Korláthyego.

I spokojnie wyszedł do przyległego pokoju.

Korláthy sponsoviał z gniewu, skoczył i krzyknął, rzucając karty na środek stołu.

— Tego za wiele! To się domaga krwi!

I wściekły popędził szukać sekundantów.

Partnerzy spojrzeli po sobie.

— Warte to tyle niezawodnie—powiedzieli,—jak gdybyśmy przychwycili mu jego Pagat-Ultimo.

Serdecznych przyjaciół nie obchodziło to bynajmniej, co się z nim teraz stanie. Ważniejszym dla nich było daleko, w jakim stosunku zajście to jest do Pagata.

— Oczywiście,—zauważył nadżupan—trzeba mu to będzie zapisać. Jakkolwiek...

Ciąg dalszy uwiązał mu w gardle. Uważał za właściwsze nie dopowiedzieć swego mniemania.

— Coś pan chciał powiedzieć, panie nadżupanie?

— Między nami mówiąc, chciałem powiedzieć, że byłby całą grę wygrał, gdyby nie był kart rzucił...

Sekundantów w klubie znajdzie się bez straty czasu. „Mężowie dążności“ tak bardzo dążą do wszystkiego, że jak sięga pamięć ludzka, nie było pośród nich żadnego, co by nie chciał być sekundantem. Boć i to jest także urząd, przynajmniej na jakieś pół dnia. Jakkolwiekby, zawszeć odgrywa się jakąś rolę. Imię człowieka staje się rozgłośniejszem. Labirynt „oświadczeń“ i „wyjaśnień“ potem w dziennikach robi człowieka na czas. niejaki bohaterem dnia, o którym gadają w całym mieście. W okręgu wyborczym czytają to poczeiwi wyborcy i wyrażają się z dumą: „Nasz poseł brał udział teraz w krwawej sprawie!“ albo szepczą sobie poufnie: „Nasz poseł pomaga ludziom do odzyskania honoru.“

Jakież to częste! Bezustannie czytać to mogą ku swemu zadowoleniu. Ile dni, tyle takich wypadków. Łatwo wyobrazić sobie, że poczeiwym wieśniakom tam w domu nieraz przychodzić musi na myśl pytanie: czy też to honor wielkich panów zrobionym jest ze skorup szkła, że tak łatwo ulega stłuczeniu i że go tak łatwo zlepić napowrót można?

A potem następuje cały szereg wyjaśnień. Ot, uncya krwi, a litr cały atramentu. To rezultat węgierskich pojedynków. Uncya krwi nie zawsze jest pewnikiem, atrament natomiast jest tu pewnym zawsze.

Pojedynek między Altoryayem a Korlathym odbył się następnego dnia zaraz w lasku Rákos-Polota, gdzie drzewa są kul pełne. Kiedy po latach wielu drwale które z drzew tych zetną, z każdego niezawodnie wypadnie kula. Każda taka kula oznacza ocalonego człowieka, którego nie dosięgła. Dzieci wiejskie, zbierając grzyby, znajdują tu i w trawie często pistoletowe kule. Każda z nich jest emblematem zrestaurowanego honoru. Dzieciaki chowają te „honory“ do kieszonki swych kamizelek i w domu pod rynnami dachów, bawią się w nie, jak w guziki...

Altoryay strzelał pierwszy, ale nie trafił. Korlathy strze-



lił i trafił. Ramię Altoryaya zostało zdruzgotane. Lekarze obandażowali je i oświadczyli, że rana nie jest niebezpieczną. Możliwa rzecz, że przez czas dłuższy pozbawionym będzie władzy w prawem ramieniu, nie przeszkadza mu to jednak w jego „zarobkowaniu.“ Boć koniec końców, nie głosuje się prawem ramieniem.

Teraz z kolei nastąpiły zwykłe „oświadczenia.“ Sekundanci ogłosili, że spór załatwionym został na drodze honorowej. Lekarzy oświadczenie miało na celu zabicie puszczonej przez dzienniki kaczki, jakoby rana Altoryaya była śmiertelną. Potem znów sekundanci zaprzeczyli krążącej pogłosce, jakoby przeciwnicy po odbytych pojedynku podali sobie ręce; rzecz całkiem niemożliwa, już choćby z tego względu, że lekarze właśnie opatrywali ramię Altoryaya. Kurator klubu wystąpił z oświadczeniem z powodu artykułu, który zjawił się w którejś gazecie pod tytułem: „Niesłychany skandal w lokalnościach klubu.“ Naoczni świadkowie nie omieszkiwali z tego powodu ogłosić swoich zaprzeczeń, opisu zaszłego nieporozumienia, i jak w ogóle odbyło się całe to zajście. I nadżupan Gravinczy. był między naocznymi świadkami i on zatem musiał „oświadczyć się“ również, a z tego wynikła poboczna znów sprawa. W komitacie Gravinczego bowiem tameczne opozycyjne pisemko: „Mlecz,“ opowiadało na podstawie tego zajścia, że pan nadżupan po całych tygodniach grywa w Peszcie w karty, zamiast u siebie w domu kontrolować machinacje sierociego urzędu. „Państwowy zarządzie, przyjdź królestwo twoje!“

Na taką zaczepkę oczywiście musiał już wystąpić pan vice-żupan z oświadczeniem, że jego dostojność pan nadżupan wyjechał do Pesztu w sprawach urzędowych, dotyczących ludowej kasy oszczędności; skutkiem tego kasa oszczędności „dla uspokojenia swych akcyonaryuszów“ oświadczyła, że chodziło tu o interesa wyłącznie administracyjnej natury, i że materyalne stosunki kasy oszczędności zupełnie w tej sprawie nie były zaangażowane.

W ten sposób sprawa pojedynkowa Altoryay-Korláthy wirowała w prasie ze wszystkimi swemi antecedenjami tu i ówdzie, aż

w tym lesie złośliwych czcionek raz tu, to znów gdzieindziej wyostrzo no sobie na niej zęby i aż wreszcie i pan Daniel Szabó, poseł i opiekun widział się zmuszonym ze swej strony „oświadczyć,“ że o planach Korláthyego nie był powiadomionym bynajmniej, czego przedewszystkiem dowodzi ta okoliczność, że na podarku ślubnym, przeznaczonym dla swej pupilki, serwisie srebrnym stołowym w ostatnich dniach przed spodziewanym aktem zaślubin, kazał wyrznąć herb Altoryayów: bociana z szablą w dzióbie. Niechaj bocian ten będzie świadkiem jego niewinności.

Naturalnie, że natychmiast wystąpił i grawer ze swem oświadczeniem, bo ten nasz kraj jest krajem wieczystych oświadczeń i wyjaśnień. Wszystko, co żyje, wiecznie się za czemś lub przeciw czemuś oświadcza,—cudowny to chaos i płatanina. Tu wszelkie złe naprawia się zapomocą „oświadczeń.“ Oświadczenie dowodzi, że ta lub owa kobieta jest cnotliwą, że ten lub ów mężczyzna nieskazitelny ma charakter. Prawa poprawiane bywają oświadczeniami. Rząd, skoro błąd jakiś popełni, ogłasza oświadczenie. Tu każdy składa swe „oświadczenie.“ Oświadczenia są zdawkową monetą kraju. Niemi się płaci, niemi dostarcza środków żywności. Skoro kto zwichnie nogę na ulicy, zamiatacz ulic wnet oświadcza, że nie pozostawił na trotuarze wyrzuconych łupin melona. Jeżeli chory wyzdrowiał, oświadcza, że życie swe zawdzięcza doktorowi X.; jeżeli umarł, oświadcza doktor, że śmierć ta, nie jest jego winą. I aptekarz oświadcza niemniej. Tylko umarły już się za niczem nie oświadcza. A i to już przecież coś znaczy!

Ale jak wszystko na świecie, tak i oświadczenia mają wreszcie swój koniec. Inne znów oświadczenia wypierają je z kolei. Cała sprawa idzie w zapomnienie, i wszystko biegnie znów zwykłym swym trybem.

Zapominają o Korláthych i niebawem znikają oni w wielkiej fali ludzkiej. Kiedy niekiedy jeszcze tylko przypomina sobie o nich jakiś umysł żywszy, i gdy śliczna jasnowłosa mężateczka gdzie się pojawi, szepczą sobie za jej plecami:



— A, to ta słynna panna, co to zmieniała tak narzeczonych. Prześliczna kobietka!

Wprędce i o tem zapomina się, bo nowy tytuł wyparł dziś dawny, mówią dziś o niej zwykle „nieszczęśliwa kobieta.“

Mąż jej bowiem to człowiek bez serca i bez wartości, który nie kocha jej wcale. Upędza się za aktorkami i tancerkami i tym co noc pod „niebieskim kotem“ płaci kolację z szampanem. Ten „niebieski kot“ było to szatańsko żarłoczne zwierzę. Zjadło ono niezliczoną moc ludzi. Ludzi i majątków ziemskich.

Z Korlathym była to rzecz nie tak trudna nawet. Trwała zaledwie dwa lata.

Posag Estery i tak stopniał znacznie dzięki rachunkom z opieki wujaszka Dani. Wychowanie Estery kosztowało wiele, niesłuchanie wiele! Można by sądzić, że pan opiekun wpakował w jej głowę chyba całą mądrość heidelberskiego uniwersytetu.

Piotr wytoczył proces wujowi Dani, ale podczas jego przebiegu sprzedał spodziewaną część z wygranej.

Bieda poczęła już pukać do drzwi. Smutna to chwila, kiedy klejnoty i srebra poczynają wędrować.

Piotr dostatecznie mądrym był na to, by przewidzieć los nieunikniony. Postanowił uciec przed nim bądź do *innego* świata, bądź wreszcie do *nowego* świata!

Pewnego dnia, kiedy się rozchodziło z klubu do domu, wsunął po przyjacielsku ramię swe pod ramię Altoryaya, od pojedynku bowiem napowrót byli najczulszymi przyjaciółmi. Tego do maga się towarzyska „przyzwoitość.“

— Słuchaj, Pista, odpowiedz mi na jedno poufne pytanie.

— Ależ owszem, służę ci!

— Powiedz mi szczerze: czyś ty kiedy kochał Esterę?

— Szczególniejsze pytanie! Wszakżem chciał się z nią zenić!

— A jak ci się teraz podoba?

— Do diabła, ładna bardzo, przyjemna,—przecież nie jestem ślepy.

Korláthy po tem oświadczeniu nachylił się jeszcze więcej ku swemu przyjacielowi i w poufny ton rzekł mu szeptem:

— To weź ją sobie!

Altoryay odsunął się zdziwiony.

— Co ci przychodzi do głowy, Piotrze, własną żonę proponować innym? Wstydź się! Dla tego więc zapraszałeś mnie, bym był w twoim domu?

— Nie potępiaj mnie, kolego! Mnie spokoju nie daje — poczucie honoru. Ja rozpocząć muszę nowe życie, nowe zupełnie koleje albo w łeb sobie strzelić. Nowe zaś życie mogę rozpocząć tylko bez niej. Jeżeli zabiję się, ona zostanie wdową, a chciałbym przecież jej jakiś los zapewnić.

— Tak więc już daleko zaszło z tobą?—spytał Altoryay z pewnym odcieniem współczucia.

— Tak; pieniądze się skończyły, długi z dniem każdym mocniej mnie dławią. Stary łotr Szabó ciągnąć będzie ten proces do dnia ostatecznego chyba sądu. Widzę, że radykalny jakiś środek jest koniecznością. Chcesz mojej żony, czy nie chcesz? odpowiedź!

— Albożem oszalał?—wybuchnął Altoryay,—abyś teraz, gdyś ty stracił posag, brał sobie na kark kobietę bez niego?

— Tak? a więc i *tobie* chodziło tylko o jej posag?—replikował Korláthy z gryzącym szyderstwem.

Tak, z gryzącym szyderstwem, bo sędziowie moralności i moralnie oskarżeni tak splątani są i tak już pomieszali się z sobą, że każdy w każdej chwili taką rolę przybiera, jaka mu się podoba.

W kilka dni po tej rozmowie, zniknął Korláthy ze stolicy, haniebnie porzuciwszy młodą swą żonę. I nie powrócił też już. Z początku wieść ta rozchodziła się bardzo powoli, później pojawiła się już i w którejs gazecie.

— Uciekł do Ameryki,—mówili łatwowierni.—Dobrze zrobił, bo tu nie odgrywał już żadnej roli.

Kilku współwyznawcom swych przekonań politycznych



zwierzył się, że niepodobieństwem mu jest dłużej oddychać tem reakcyonerskiem powietrzem, że niezadowolonym jest z teraźniejszej polityki, z nowszych prądów idei, że zatem uchodzi do — swobodniejszego kraju.

— Jedyne prawdziwe demokracje, — mówili ci, którzy we wszystkim dopatrują się politycznego podkładu.

— Uciekł przed wierzącymi, — mówili mądrzejsi.

— Porzucił mnie, — skarżyła się biedna żona i płakała, płakała dniem i nocą gorzko.

Smutne dla niej nastały czasy. „Słomiana“ barwa gorszą jest od czarnej barwy rzeczywistej żałoby. Takie wdowieństwo smutniejszym jest od wdowiego welonu.

I to już coś znaczy, kiedy można odwiedzić tego, którego się kochało. Mogła wznosić się nad ziemią, nad nią krzyż. I lżej bywa sercu, gdy kiedy niekiedy można iść pomówić z tym czarnym krzyżykiem i zapytać go o niejedno. I to jest już ulga.

Ale gdy ten, którego się kochało, nie jest nigdzie? Ziemia nic o nim nie wie, bo go jeszcze nie przyjęła w swe łono. Estera pytałaby chmurek... cóż, jeśli one nie płyną z tych okolic, w których on przebywa? Chciałaby mu przez obłoki posłać wieści. A jeśli one nie tam pędzą! Kto wie, gdzie on teraz? W spojrzeniach tylko, w szyderczych, nienawistnych lub litościwych spojrzeniach ludzi on dziś istnieje. Szyderstwo, nienawiść, litość — trzy groby! W trzech grobach mąż jest pochowany!

Dla serca jej była to prawdziwa pociecha, kiedy po miesiącu przyszedł list od niego, opatrzony stemplem: „Hamburg.“ List ten nie był właściwie zbyt pocieszającym, a przecież całowała go, we dnie nosiła go na piersiach, w nocy kładła go sobie pod poduszkę.

— „Nie szukaj mnie, jestem daleko, bardzo daleko! — tak brzmiał ten list. — Przebacz mi, że cię opuściłem, ale byłem zmuszonym do tego. Nie mogę tam być ubogim, gdzie byłem panem. Nie mam nic dziś już, musiałem się oddać. Pociesz się i idź za

maż za innego, jeśli będziesz tak szczęśliwą, że znajdziesz konkurenta. Ja nie powrócę nigdy."

"Nie szukaj mnie!" Ach, ona go jednak odzuka, choćby w tej wędrownicy za nim przyszło jej położyć życie, choćby świat cały miała zejść pieszo! Znajdzie go. Bo i jakżeby go nie znalazła? Człowiek, to przecież nie szpilka, aby mógł w świecie zginąć bez śladu, nieprawdaż stary Janoszu?

Stary huzar, który zawsze był pocziwym, ale niezbyt daleko widzącym człowiekiem, pocieszał ją i dodawał odwagi.

— Oczywiście, oczywiście! Taki poważany, piękny mężczyzna, jak nasz pan, wszędzie musi wysokie zajmować stanowisko, wszędzie jest znaczny, gdziekolwiekby był. Dzieciństwem będzie go znaleźć. Nie bój się niczego, nie płacz już, moja duszko, moja gołębiczko złota!...

Kiedy wszakże poczęła już następnie wybierać się w drogę, ważna wystąpiła przeszkoda.

— Skąd ja wezmę pieniędzy, Janoszu?

— A prawda, o tem nie pomyślałem zupełnie! Sprzedamy meble.

— Ależ na nich położone sądowe pieczęcie za zaległe komorne i inne długi.

— Niech Bóg pokarze te pijawki!

Nakoniec po długich naradach, wpadli na myśl, że najlepiej byłoby, gdyby Estera upokorzyła się i poszła do wuja Doni. Ten z pewnością dałby jej pieniądze.

— Właściwie, toć on nam przecież coś winien jeszcze, jeśli się zechce ściśle brać rzeczy,—mówił Janosz.

W wuja Doni powiedziała jej służba, że pan wyjechał.

— A kiedy powróci?

— Niewiadomo.

Poszła kilkakrotnie jeszcze z coraz to mniejszą już nadzieją, ale pan zawsze i wечно był w podróży. Napisała do niego. Na list swój nie odebrała jednak zupełnie odpowiedzi. Położę Gołębki w klatce. Dodatek do Nr. 162 Tygodn. ilustr.



nie Estery stawało się coraz rozpaczliwszem. Najbliżsi kramarze nawet nie chcieli nie już dawać jej na kredyt.

Pewnego dnia przyszedł do niej Altoryay. Wówczas, z mebli już, ze wszystkiego, co znajdowało się w tem dawniej tak eleganckiem mieszkaniu, widocznie czytać można było ubóstwo. Okoliczność ta dodała śmiałości panu posłowi.

— Eszti, kochasz mnie?— spytał ją ze zbudzoną zmysłowością.

Estera wzruszyła hardo ramionami.

— Cóżby mi to pomogło, gdybym pana kochała?

Nędza zwolna, zwolna ścierała z niej ten pyłek kwiatu, co kwiat ożywia, a kobietę otacza urokiem.

Kiedy Altoryay pożegnał ją zapewnieniem, że niezadługo powróci, stary huzar począł żartować:

— A coby tak było, panienko, gdybyśmy powrócili do dawnego? (Esterę zawsze nazywał jeszcze „panienką“, jak niegdyś w pułku). Mnie się coś snuje po głowie: kto wie, czyby to nie było dobrze postarać się o rozwód?

Estera wstrząsnęła głową.

— On się nie zechce żenić ze mną, bo dziś już nie mam majątku!

Altoryay jednak przychodził codziennie i grał rolę szalenie zakochanego w Esterze, chodził wszędzie za nią, zalecał się i przysięgał, że ją ubóstwia.

Stary huzar pomrukiwał niezadowolony:

— Boję się ja czegoś złego, panienko.

Estera wydeła wargi.

— Ani myślę, toż on nie nie ma!

Nędza to smok, na którego grzbiecie człowiek niepostrzeżenie niemal z jednej na drugą wędruje planetę.

Ach, ta nędza! Prawdziwie, cierpliwość Estery kończyła się już zupełnie.

U drzwi stoi ubóstwo, u okien kuszące dyabliki. W ślad

one idą za nędzą. Kto się jej lęka, ten przywołuje szatana na pomoc, by ją odegnać. A te szatany to przedsiębiorcze istoty.

— Muszę mieć pieniądze, aby stąd móżdż odjechać,—mówiła Estera zniecierpliwiona.—Muszę mieć pieniądze za jakąkolwiek cenę. Pieniędzy, pieniędzy, albo stracę rozum!

Stary Janosz dopóty łamał sobie głowę, dopóki wreszcie nie wynalazł na to jakiegoś środka.

— Pieniędzy, pieniądze, panienko, pieniądze moglibyśmy dostać, gdybyśmy tylko dobrze wzięli się do rzeczy. U pana Daniela Szabó nieraz, ale sto razy przynajmniej widziałem, jak panowie radzą sobie, kiedy nie mają pieniędzy. A cóż, gdybyśmy i my tak spróbowali?

— No, więc dalej, gadaj, kochany Janoszu!

— To bardzo proste; kazali sobie przynieść zielony pusty kawałek papieru za jednego lub dwa guldeny z trafiki \*), potem pan pisał na tem „tysiąc guldenów“ i z tego robiło się rzeczywiście zaraz tysiąc guldenów.

— Ale jak?

— Pan posyłał mnie do banku z tem, ale zapomniałem powiedzieć, że pod tem podpisywał swoje nazwisko.

— A potem?

— A w banku na ślepo wypłacano mi za ten papierek tysiąc guldenów. Niech mnie ziemia żywcem pochłonie, jeśli to nie prawda.

— Oczywiście, że prawda, mój Janoszu,—zawołała żywo Estera,—wszakże mój Piotr robił tak samo... to się nazywa wekslem.

— No, to taki „weksel“ trzebaby i teraz zrobić,—zakonkludował wielce mądrze Janosz.—Cóż to szkodzi spróbować? Nic nie możemy stracić przecież, jeśli się nie uda. Panienka ma takie piękne pismo, jak miał nieboszczyk pan mój, pan pułkownik.

---

\*) Sprzedaż rządowego tytoniu, stempli i weksli.



— A podpis wuja Dani umiem tak naśladować doskonale, że on sam nie poznawał nieraz,—chwaliła się Eszti.—On sam mnie w to wprawił. Zastępowałam go czasami, kiedy miał bardzo wiele zajęcia i pod aktami musiałam kłaść jego podpis.

Słowo stało się czynem. Weksel „zrobili,“ i udało się. Następnego dnia przyniósł Janusz pełen tryumfu pieniądze z banku i Estera tego samego jeszcze wieczoru wyjechała do Hamburga. Altoryay za następną swą wizytą miał już zastać puste tylko gniazdko.

Gołąbka odleciała! To jedno gniewało tylko pana posła, że gołąbka zbiegła z nieoskubanemi piórkami.

Biednaż ty, bohaterko tego opowiadania! Nieporadna istoto, którą równem prawem nazwać można rozsądną, jak naiwną gąską, która wydawać się możesz jednako złą, jak dobrą, szczęśliwą, jak nieszczęśliwą; którą wichur, jak lekkie piórko zanieść mógł również dobrze na zielone błonie pośród barwnych weselnich kwiatów, jak rzucić na bagniska i pogrążyć w ich toniach! Biedna bohaterko, gdzie odpoczniesz wreszcie, gdzie się ostoisz? Czyż te drobniutkie twe nóżki niosą cię w tę drogę życia wciąż naprzód i naprzód, czy popycha cię nielitościwy fatalizm żelazną swą dłonią?

Zresztą wszystko to jedno, bo któż pyta o to, co z tobą się stanie?

Jesteś w Hamburgu, szukasz swego męża, szukasz jego śladów, śledzisz stęsknionemi oczyma każdy przypływający i odpływający okręt. „Co też jutro ze mną będzie?“ pytasz w rozpacz i pośród olbrzymiego tego ludzkiego mrowiska serce ściska ci się bólem nieznosnym, bo z tych twarzy bezlitosnych, obojętnych wyczytać możesz dla siebie odpowiedź.

A jednak... Na ulicy uśmiecha się do ciebie tu i ówdzie jakiś młodociany dandys lub stary rozpustnik, przygląda ci się nieruchomemi, szklanemi oczyma i śledzi, czy na jego spojrzenie nie odpowiesz mu wzajem spojrzeniem... To odpowiedź na twoje pytanie: „co jutro?“ To przyszłość!

Nieprawdaż, wszak żałujesz już, żeś tutaj przybyła?

Byłoby dla ciebie lepiej pozostać w domu i czekać, co ci los przyniesie.

Bo tym sposobem z pewnością nie znajdziesz nigdy Piotra, a nawet i on nie mógłby cię znaleźć, gdyby chciał szukać. Kto wie, czy serce jego nie zwróci się ku tobie? Kto wie, czy tam w domu nie czeka już na ciebie list od niego?...

Niezadługo miała Estera dość Hamburga i zapragnęła powrócić do Pesztu. Już niczego zgoła nie spodziewała się od Hamburga i zatekniła do kraju.

Napisała do wuja Dani list serdeczny, gorący, w którym opisała mu okropne swe położenie i prosiła, aby zapomnieć zechciał o jej winie, przysłał jej pieniędzy i przyjął napowrót do swego domu; wiecznie będzie sługą jego, niewolnicą. Niechaj przyjaźń, jaką kuzyn miał zawsze dla jej ojca, przemówi tu za nią.

Chciała właśnie list ten oddać na pocztę i powolnym krokiem przechodziła lokal ponurego, starożytnego pocztowego gmachu, kiedy oko jej mimowoli padło na to okienko, w którym „niedoreczone listy“ wystawiane bywają zazwyczaj, i gdzie zwykle gromadki ludzi stoją, śmiejąc się z przeróżnych niedorecznych adresów. W wielkich miastach każdy „prysmak“ ma swoich zwolenników i swoją publiczność.

Kiedy tak patrzyła, wzrok jej zatrzymał się nagle na jednym liście z węgierskim adresem:

„Pani Panienska Esztika z naszego pułku w szanownem mieście Hamburgu.“

— Jak ojca kocham, wszak to pismo Janosza! To list do mnie.

Zdyszana weszła do biura, urzędnik oddał jej list bez najmniejszej trudności, i poczęła czytać go wzruszona.

„Kochana moja gołąbko, droga panienczko! Ja jestem chwała Bogu zdrów, w nogach tylko dokuczają mi reumatyzm trochę. I zajęcie też dostałem, bo jak tylko kochana panienska odjechała, zameldowałem się do wielmożnego pana Ladányi, który w pułku



ojca panienki był kadetem. I panienka znalazłabyś go z pewnością, droga duszko moja, gdybyś wówczas już była na świecie, bo bardzo krótko tylko służył w wojsku. Ale teraz zaszedł wyso-ko, bo jest już prezydentem całego sądu. Zrobił mnie woźnym i tem też jestem teraz. (To jest takie teraz jest moje zajęcie). Dostałem mundur z szamerowaniem, ale ani go porównać z moją dawną liberyą! Chciałbym mieć ją jeszcze, aby mnie w niej po-chowano, gdy umrę. Bo wierzaj mi, panienko, i mnie spotkać może coś takiego... Ale z tej historii z wekslem wynikło dla nas nieszczęście! Nazwisko *niedobrze* było podpisane, pan Daniel Sza-bó poznał zaraz, że to nie on podpisywał. A przecież ma już te-raz takie słabe oczy, że kłaść musi dwie pary okularów. Jednak mimo to poznał, że to nie on pisał. I teraz tak stoją rzeczy, że chcą uwięzić panienkę. Szukają, rozesłali kurendy i listy gończe, i mnie też przesłuchywano, żebym powiedział, gdzie teraz jest pa-nienka—ale tego nie zrobię za nic w świecie, a natomiast piszę do panienki, żeby tu teraz nie przyjeżdżać, a jeśli można pojechać ukryć się gdzie najdalej, bo z tego wielkie stałoby się nieszczęście, a już nie mógłbym od niego panienki uwolnić.

„Ale przez to nie bój się panienka niczego, drogi mój anio-łeczku. Dobry Bóg, jak ja Go znam, potrafi jeszcze wszystko na dobre obrócić. Gdyby jednak miał wszystko obrócić na złe (bo i to może uczynić), i gdyby panienkę pochwyciono, proszę wszystko zwalić na mnie, boć i tak nie kto inny, tylko ja w mojej głupocie byłem sprawcą głównym tej całej historii.

Pisane we czwartek tego roku.

Stary huzar: *János*.

„*Notabene*. Tu nic osobliwie nowego się nie stało, tylko upał straszny i ani rusz deszcz nie chce padać. Wszystko powysychało, a przecież stuletni kalendarz zapowiadał na ten rok mokre lato, a ten kalendarz nie zwykł jakoś dotąd kłamać. Byłbym niemal zapomniiał napisać, że pana Altoryaya naznaczono na nadzupana w jakimś słowackim komitacie. Pierwej często przychodził wy-

wiadywać się o panienkę, chciał wiedzieć, gdzie panienka teraz, ale i jemu nie powiedziałam.“

List drżał w ręku Estery, śmiertelna bladość twarz jej okryła, tę śliczną twarzyczkę, na której zwykli goście różę. Chwyciła się drobnymi rączkami żelaznej kraty okna, aby nie upaść na ziemię.

Ścigano ją więc, chciano uwięzić... Ostatnia niteczka nadziei się zerwała, machinalnie rozdiera list do wuja Dani.

Wszystko się skończyło!

Co z nią się stanie, co teraz pocznie? Cóż ona ma za pojęcie o życiu, o śmierci, o walkach ludzkich o byt powszedni? Do kogo zwróci się po radę?

At, choćby do wielkich kryształowych szyb wystaw kupieckich, które odbijają jej obraz! Te wielkie szklane tafle mówią takim rozpaczonym egzystencyom, co im czynić należy. Doradzają proletaryuszowi sił życia pozbawionemu: „Idź, głupcze, fale rzeki są przecież jeszcze, a tam ot dalej morze ściele ci miękkie łoże.“ Szyby te szepczą muskularnemu, dręczonemu głodem włóczędze: „Skoro nie masz pieniędzy, alboż nie jesteś dość silny, gamoniu, by je odebrać tym, którzy ich mają za wiele?“ I szyby te wystaw sklepowych, odbiwszy pełną postać Estery, jej jak aksamit gładką twarzyczkę z tem słodkim, smutnem oczu spojrzeniem, szepczą jej w ucho: „Jesteś młodą, jesteś prześliczną, czegoż ci więcej potrzeba? Gdzie się masz obrócić? co masz począć? Zużytkuj twą piękność!“

Ale jak? I tego naraz tak odkryć nie można! I tutaj schodzi się dopiero w dół po stopniach!

Potęgę angielskiego parlamentu charakteryzują zazwyczaj w ten sposób, że mówią, iż wszystko na świecie uczynić może, prócz chyba zamienienia chłopca lub kobiety w dziewczynę. Nędza zatem jest potężniejszą od angielskiego parlamentu, albowiem z mężatki umie zrobić dziewczynę. Esterze naprzykład poszepnęła nędza, za pośrednictwem wielkich szyb sklepowych w wystaw, że byłoby jej prześlicznie w stroju kwiaciarki.



I pierwszy ten stopień drogi w dół prowadzącej nie jest odstrasającym bynajmniej, przeciwnie nawet pończym. Sprzedawać kwiaty, c6w w tem tak zlego? Zastanowiwszy się, wypada nawet przyznać, że to poetyczne zajęcie jest najodpowiedniejsze dla ładnej twarzyckki kobiecej.

Prawda i to, że przytem trzeba się uśmiechać. Ale c6w to szkodzi? Alboż każdy przekupień nie uśmiecha się do nabywcy? Żwawy Merkury rozdzielił między swe wierne wyznawce towar uśmiechów bezpłatnie. Łokieć może być nieco kr6tszym, na szalce towar6w może u spodu być nalepiony kawał wosku lub przyciążającej ją smoły, ale nie sk6pcie tylko uśmiechu, a będzie wam się dobrze na świecie działo! A wreszcie uśmiech to rzecz wielce niewinna i tak nadaje się do kwiat6w, tak od nich jest nieodłączna! Uśmiech jest kwiatem ust i oczu tak samo, jak kwiaty s6 uśmiechem matki ziemi.

Estera została zatem roznosząc6 kwiaty dziewczyn6. Uwijała się po placach publicznych z eleganckim swym koszyckiem, szła c6sto na morskie wybrzeże, na promenady, gdzie snuły się ludu tłumy. Wyuczyła się wdzięcznych ruch6w i gest6w kwia-ciarek, filuternych ich minek, naiwnej swawoli, pończym, zwodnych ruch6w, jednym słowem: wszystkiego, co należy do rzemiosła. Bo też inaczej niepodobna! Dziewczyna zaleca kwiaty, kwiaty natomiast zalec66 dziewczynę.

Przeszł6ć pogrzebała najzupełniej. Przybrała się w kr6ciutk66 sp6dniczkę, po dziewczęcemu spuściła warkocz. I rzeczywiście, dzięki temu kostiumowi nie wygl6dała na więcej, niź na lat szesnaście. Zmieniła nawet nazwisko. Nazwała się Mary6 Wild.

Uprzejm66 była, pończym. Spojrzenia mł6dych męzczyzn zwracały się na ni6, a twarz jej wkr6tce się stała tak wrażliw6, że w mgnieniu oka wiedziała, sk6d pada na ni6 pal6ce spojrzenie. I ani ten, co j66 przeszywał swym wzrokiem, ani też ona sama nie pytali listk6w kwiatu: „Kocha mnie? lubi? szanuje?...

Co noc tylko przeszł6ć wracała do niej. Za dnia odstra-

szala ją od siebie: „Precz z tobą, ty trądzisz z wiecznie raniącym ostrzem!” I wreszcie, cała przeszłość poczęła zacierać się, szarzeć, mieszać, gdy pewnego wieczoru, na wybrzeżu morskim, kiedy wzrok jej zmęczony błędził wśród lasu masztów na morzu, nagle głos jakiś niewieści po angielsku tak ją zagadnął:

— Ładne masz kwiaty, panienko!

Złękła się czegoś i zwróciła ku damie, wspartej na ramieniu jakiegoś pana: stała obok niej z ręką opiętą w rękawiczkę koloru masła i przerzucała kwiaty w jej koszyku.

— Co pani rozkaże?—spytała niepewnym głosem po francusku.—Takie dziewczęta zawsze są jakieś niepewne, ilekroć zagadnie je jaka kobieta. Spuściła głowę ku ziemi i nie śmiała już podnieść od koszyka oczu.

Pani wybrała kilka róż herbacianych i bukiecik fiołków.

— Zapłać, mój drogi,—wymówiła do towarzysza.

Estera teraz dopiero spojrzała w twarz pana i krzyknęła głośno, pobladła:

— Piotr! święty Boże! Wszakże to ty?

On to był! Począł drzeć całym ciałem i ramieniem, o które wsparta była dama o grenadyerskim wzroście, opadło bezwładne.

— Ester! Rzeczywiście! Więcbyś ty to była?

Ale szybko oświadczył niespodziane wrażenie i usiłował w głosie przynajmniej okazać spokój.

— Cicho! Tylko żadnych scen! Na miłość boską nie rób skandalów.

— Co to jest? co to zaszło?—pytała Anielka zdumiona.

— Cóż to za stworzenie prowadzisz pod rękę—wybuchnęła Estera i spojrzała odważnie, z wyzywającym szyderstwem na otulony w koronki szkielec, stojący obok Piotra.

Korlathy był nieopisanie zakłopotany. Naraz uspokajać dwie kobiety! na pytania ich w dwu odpowiadać językami! Ta nie rozumiała po angielsku, tamta znów po węgiersku. A przecież oba języki w ustach obu kobiet wydawały się zupełnie do siebie podobne. Było w nich coś ze świstu węży a.



— To rodaczka moja, Emmy. Rozpytywałem ją o kraj,— odpowiedział Piotr swej towarzyszece.

— Opowiem ci wszystko to potem,—uspokajał Estere.— Gdziebyśmy się spotkać mogli za godzinę? Muszę tę panią odprowadzić tylko do hotelu.

— Chodźmy, mój panie, chodźmy,—nakazała z godnością *miss* czy też *mistress*.

— Nie puszczę cię ani kroku dalej, skorom cię raz wreszcie znalazła!—zapewniała Estera i gotowa do walki podparła się w boki.

— Idźmy, idziemy natychmiast, pani,—bąkał Korláthy.— Ta kobieta rodem jest z mojej wioski i opowiada mi właśnie niezmiernie zajmujące nowiny o moich krewnych. Nie bądźże śmieszna, Emmy. Skądże ten niepokój?

I natychmiast rozpoczął znów po węgiersku:

— Esztike, duszko moja, nie bądź-że niedorzeczną. Przecież i ja szukam cię wszędzie, a teraz, gdyśmy cię znaleźli, chciałabyś nierozumnem zachowaniem zepsuć wszystko? Przysięgam ci, że tylko szczególniejszy wspólny nasz interes zagnała mnie odprowadzić do domu tę damę. Idź za mną z daleka do hotelu i tam czekaj przy bramie, póki nie zejde.

Estera ustąpiła pod wpływem wzruszenia. Tak to wszystko stało się niespodzianie, że serce jej tłukło się w piersiach bezradne. Raz uderzało zmartwieniem, to znów radością niepoimierną.

Z daleka powolnym krokiem szła za mężem, który długie jakieś prowadził z *miss* dysertacye. On coś przekładał jej długo, poczem następowała w rozdrażnionym tonie rzucona replika *miss*, aż wreszcie zniknęli w bramie hotelu.

Estera czekała prawie całą godzinę na Piotra niecierpliwie, w gorączkowem naprężeniu i po dwakroć już chciała iść do niego do hotelu.

— Nakoniec teraz jestem już twoim,—deklamował Piotr z wielkim patosem, gdy już zeszedł wreszcie.

— Na zawsze!—dodała Estera.

— Tak jest, od jutra. Ale teraz chodźmy gdzie, gdziebyśmy się nagać mogli.

— Dokądżeby?

— Chodźmy na przykład do twego mieszkania.

— Ależ ja mieszkam na poddaszu tylko.

— Zawsze to przecie twoje gniazdko.

Ach, Boże, i co za „gniazdko!“ Zaczęła się, jak piewonia.

Piotr wziął ją pod rękę. Wieczór zapadał właśnie nad hałaśliwym, pełnym ruchu miastem. Po drodze uściśnął ją w jakiejś ciasnej uliczce i począł opowiadać potrosze.

— Opowiedzże proszę, moja żoneczko, jakim sposobem tu się dostałaś? A jak rozkwitłaś, sama jak kwiatek pośród tych wszystkich kwiatów!

Estera opowiedziała mu wszystko szczerze. Jak z wolna straciła resztę tego, co miała jeszcze, w jaki sposób zdobyła sobie pieniądze na podróż do Hamburga, której celem było odszukanie Piotra. Płakała i śmiała się podczas tego opowiadania na przemiany. Dopiero, gdy przyszła kolej na list starego Janosza! No, to prawdziwie humorystyczny liścik. A co za ortografia! (Żałuję doprawdy, że go dla ciebie nie zachowała).

I Piotr był w wybornym humorze.

— No, mogę sobie wyobrazić stylu Janosza. Co się ciebie jednak tycze, mała roztrzepanico, tym sposobem sprawiłaś, że w kraju rozesłano za tobą listy gończe?

— Tak, ale cóż mi na tem teraz zależeć może? Teraz odzyskałam ciebie, a ty będziesz już wiedział, jak mnie obronić! A potem, patrz i ja miałam tyle rozumu, że zmieniłam nazwisko. Tu jestem teraz Marygą Wild.

— No, to pocałujże mnie, Mariszka!

— Ani razu, dopóki nie przyjdziemy do domu i dopóki w moim pokoiku nie wypowiadasz mi się ze wszystkich swoich grzechów!



A potem dodała filuternym tonem:

— Dopóki pan Korláthy nie wyzna, kto to jest ta kobieta, z którą po ulicy chodzi pod rękę, i dopóki go z tych wszystkich zbrodni nie rozgrzeszę.

Piotr roześmiał się głośno.

— O, bo co też ty sobie wyobrażasz! A to rzecz wielce prosta. Stał wyjechałem do Ameryki, a ponieważ, jak wiesz, niegdyś tam słuchałem medycyny, uciekłem się do tej umiejętności, by się utrzymać. W Ameryce każdy żyje, jak może. Umiałem zrobić sobie porządną reklamę i miałem niebawem dosyć pacjentów. Miss Tompson, osoba posiadająca sporo milionów, powierzyła się mojej kuracyi i prosiła, bym jej towarzyszył do wód morskich, w charakterze przybocznego jej lekarza. Miss Tompson jest po prostu moją pacjentką.

— Ha, ha, ha! więc ty leczysz miss Tompson?

— No, oczywiście,—bąknął Piotr niezadowolony.

— I z jakimże skutkiem?—pytała Estera z gryzącą ironią.— Jakże jest z jej szanownem zdrowiem?

— Słabość jej rzeczywiście ustąpiła już w znacznej części.

— No, co w to, to mi trudno uwierzyć, bo z tej choroby żadnej kobiety wyleczyć nie można.

— Z jakiej choroby? — bąknął Piotr, zmieszany ironicznym tonem Estery.

— Z brzydoty i lat Matuzalowych!

— Ależ daj pokój, nie drwij! Jutro rano opuścić ją całkiem już uzdrowioną, chciałbym tylko otrzymać przynależne mi lekarskie honorarium. A to wystarczy w zupełności dla nas, kochana Estero, abyśmy coś już począć mogli.

— Czy ty mnie tylko nie zwodzisz, Piotrze?

Piotr podniósł dwa palce w górę.

— Nie przysięgaj! Nie chcę twych przysięg, pragnę tylko twego serca. Ale patrzaj, stanęliśmy już przed moim mieszkaniem.

Na górze, w pokoiku na poddaszu spędzili następnie godzinę, która była prawdziwą sielanką.

Było tam jedno tylko krzesło, ale im nie potrzeba też było drugiego.

— Chodź siadaj u mnie na kolanach, Esztike!

Estera znalazła jakiś kawałek świeczki, ale nie mogła znaleźć zapalek.

— Nie szukaj już, śliczna moja zoneczko, po cóż nam światło!

— Przecież nie możesz widzieć mnie nawet.

— Wystarczają mi twoje usteczka, podaj mi je tylko. Niech z nich dawnej skosztuję słodyczy... Słodycz poczuję i po ciemku... Słuchaj-no, zoneczko, czy też od naszego rozstania nikt tu nie ka-  
zał sobie płacić rogatkowego?

(Aha! Teraz ktoś cieszy się, że nie można było zapalić świecy).

Układanie planów na przyszłość, czułości, po jakimś zgryźliwym słowie pieszczota dla zrównoważenia, co chwila głośny pocałunek, po którym czerwone plamy zostają na twarzy... prawdziwe kółka... na kołach tych czas szybko ubiegał...

Piotr wkrótce musiał się oddalić.

— Kiedyż więc przyjdiesz, jutro?— spytała z westchnieniem Estera.

— W południe, a może i prędzej jeszcze,—szepnął Korlathy w miłosnem odurzeniu.

— Nie każże mi czekać, boby to było dla mnie męką; oznacz lepiej czas tak, abyś tu mógł być na pewno.

— Punkt o dwunastęj w południe będę tutaj.

Estera wyprowadziła go na schody, potem wbiegła do swojej izdebki, otworzyła okno i czekała, aż Piotr wyjdzie na ulicę. Skoro się ukazał, wzięła koszyk i wysypała wszystkie swe kwiaty z góry na niego. Tym czynem brała rozbrat z dotychczasowem swem zajęciem.

Nagle coś jej ścisnęło serce. A jeśli to przedwcześnie?...



W nocy myśl ta nie dawała jej zasnąć. Z małego żelaznego piecyka, który stał w pośrodku izdebki, widziała wychodzące wszelkiego rodzaju potwory, bawoły czarne o trzech rogach, straszliwie wielkie węże o nietoperzych skrzydłach, śmiejące się szatany, litościwie poglądające na nią karzełki, i zdało jej się, że każde z nich woła do niej: „Za wcześnie to było jeszcze, za wcześnie!”

Zaledwie zaświtała na niebie zorza, przywdziała na siebie najlepsze suknie. Minuty wlokły się powoli, nadzwyczaj powoli. Słyszała uderzenie każdego kwadransa. Tik, tak! Tik, tak! — przemawiał język zegara. Przyjdzie — nie przyjdzie!

Im bliżej było południe, tem bardziej rósł jej niepokój, tem wzrastało w niej powątpiewanie, i biedne jej serce uderzało w takt uderzeń zegara: Przyjdzie — nie przyjdzie! Przyjdzie!...

Nakoniec z wieży ozwał się zegar. Dwunasta.

Cicho, obrzydłe dzwony! Zdaje się jej, że słyszcć kroki, wyraźnie kroki, zmierzające ku poddaszu! Już niema wątplenia.

Twarz jej płonie, oczy błyszczą szczęściem, zrywa się, spogląda w małe lustro, by rzucić w nie zadowolone spojrzenie, i biegnie z uśmiechem i śpiewką drzwi otworzyć.

Drzwi otwierają się same: w progu staje policyant.

— Pani jesteś Esterą Korláthy z Pesztu?

Estera oniemiała, w oczach jej pociemniało.

— W imieniu prawa jesteś pani aresztowaną! Proszę iść ze mną!

\* \* \*

Podejmuje nic mego opowiadania w rok dopiero.

Pana nadzupana Altoryaya, sprowadził pewnego dnia przyrządek z głębi słowackiego komitatu, poddanego jego władzy, do Pesztu, a że w narodowym kasynie nie znalazł jakos partyi, spędzał czas na pogawędce, wypytując się o dawnych znajomych.

— Aj, a cóż się też stało z piękną Korláthy? Kto z was słyszał o małej gołąbce?

— Gołąbka jest teraz w klatce — zauważył nadzupan Gravinczy. — Uwięziono ją za sfalszowanie weksłu.

— No, to los doprawdy okrutny!—westchnął Altoryay.

— I nikt już jej nie szukał, ale łajdak jakiś musiał ją zadenuncyować widocznie.

— A jakież tam wiadomości są o Korlathym?

— Ach, tem żyje doskonale i zadaje szykul Obecnie jest tutaj w Peszcie z jakąś Angielką i sypie pieniądze garściami.

— Ach, jakżebym rad się z nim spotkać!

— Nic łatwiejszego nad to, bo właśnie w tej chwili jest w kasynie, w którymś z wewnętrznych pokojów.

Altoryay zerwał się żywo, aby go odszukać coprędzej.

— Poczekaj na niego aż przyjdzie, terazbyś mu przeszkodził,—ozwał się Gravinczy.—Odbywa się tam jakiś sąd honorowy, jest teraz posiedzenie, a on jest właśnie—*prezydentem*.

Altoryay spojrział zdumiony na Gravinczego, ale w twarzy jego nie dostrzegł najlżejszego choćby wyrazu szyderstwa. Uważał to za rzecz całkowicie naturalną nawet, że Korlathy prezyduje w jakimś honorowym sądzie. Obéjrzał się dokoła po całej sali, ale i inni nie dziwili się temu bynajmniej.

Tylko tam w głębi, na ścianie, portret hrabiego Stefana Széchenyi'ego marszczył się surowo, ponuro. I on jednak dziś nie jest surowszym, niż był wczoraj lub onegdaj.

Oj, a gdyby też kiedy wyszedł z ram swych naraz, potężnie się zatrząsł i głosem gromu zawołał:

— Prędkiej dawajcie tu mój puhar, niech go rozbije, byście w przyszłości już z niego pić nie mogli! *Koniec!*

I na tem koniec też obecnego opowiadania.

Gołąbka siedzi w klatce, jastrząb zaś w kasynie prezyduje honorowemu sądowi.

Byłoby niemal brakiem estetycznego poczucia ciągnąć opowieść dalej i wszystko wymieniać po kolei. Dość nam domyślić się reszty, wiedzieć nie potrzeba. Kto zdradził Estere? Co się z nią później stało? Kim była miss Tompson i czem była dla pana Korlathy? Czy została wyleczoną? (Z milionów wyleczył ją niezawodnie). Wszystko to już rzeczy mniejszej wagi.



Jedno tylko jeszcze wyznać muszę.

Czytelnikowi zdaje się mianowicie, że czytał dwie nowelle, a on czytał tylko *jedną*, ale czytał *dwa razy* po sobie.

Jedna i taż sama to historia, tylko, że raz aktorami są ludzie z przed lat *czterechset*, a potem ludzie naszego *obecnego* stulecia.

Tamci odstepują sobie wzajem narzeczone, ci wykradają je jeden drugiemu; tamci zwracają je z posagiem, ci trwonią posag, a potem porzucają kobietę.

Dla czego tak to napisałem?

Był to mój kaprys, aby przed oczyma czytelnika kazać prze-deflować ludziom dawnym i ludziom obecnym, ażeby mógł osądzić, w których było więcej temperamentu, więcej krwi gorącej.

Było to zuchwalstwo nielada, wyznaję. Przeczuję już z góry karę w postaci gryzących uwag:

— Co krwi? Ależ w tamtych płynął tylko atrament i w tych płynie tylko atrament! A w atramencie nie masz krwi ani kropli.

Inni znów mówią:

— Głupstwo! Twórcza natura wszczepiła więcej temperamentu i krwi w najdrobniejszego robaczka, niż wszyscy w czambuł pisarze we wszystkich swych bohaterów razem wziętych.

I to jest prawdą.

Laicy debatować będą może w zamyśleniu:

— Tak, tak, dzieje się nie zmieniają, tylko ludzie.

Ci, którzy lubią filozofować, wstrząsną głową i powiedzą:

— Nie, nie! Właśnie ludzie się nie zmieniają nigdy, zmieniają się tylko powieści.

Na to krytycy zawołają nerwowo:

— O nie, to nieprawda; ani wątek życia, ani ludzie nie zmieniają się, zmienia się tylko moda w literaturze...

## NOWELLA TRZECIA.

---

### LAPAJ, SŁYNNY DUDZIARZ.

Kiedy brata Słowaka najdzie chęć ugruntowania domowego ogniska, wycina on przedewszystkiem z ośm półtorasażniowych krągłaków, zaostrza ich końce i wbija w oddaleniu półtorej piędzi w ziemię, tym sposobem osiągając szkielec przyszłego domu. Słupy te wiąże prętami leszczyny, które przebiegają jak żebra od słupa do słupa, potem to pierwotne rusztowanie pokrywa gałęziami, mokrą trawą i zielskiem, ściany wypełnia wrzosem, a kiedy jeszcze u ściany zawiesi wiązkę okopconej słomy, niby „wiechę“, staje się to przybytkiem sprawiedliwości.

Przejmując poszanowaniem ze wszelkim pozorem autokratycznej władzy, panuje on wówczas nad rozległym niw i pół państwem. Z należną cziągą i wewnętrzną trwogą mija go wówczas wszelka pobożna i bezbożna dusza; tu bowiem jest „pierwsza instancja“, karząca wszelkie przeciwne prawu czyny, a sama zewnętrzność tego forum zdradza już, że zostało ono, acz mniejsze od komitatowego gmachu, stworzonem na jego obraz i podobieństwo i jednego z nim jest pochodzenia.

Istotnej przecież godności i wagi nabiera chata polowego strażnika wówczas dopiero, kiedy przed nią czernieje wielka ciemna okrągła plama. Znak to, że karząca sprawiedliwość, wcielona tu w Istoka Lapaja, słynnego dudziarza, jest w niej obecną i przy migotliwym chróście płomieniu piecze sobie kartofle, Lapaj, słynny dudziarz. Dodatek do Nr. 163 Tygodn. illustr. 6



do których częstokroć dołącza się kawałeczek „uchronionego od akcyzy“ mięsa. Skłonność do tego ostatniego odziedziczył on po swych przodkach, którzy wszyscy w czambuł byli juhasami.

Jeszcze zaś większym jest efekt, gdy potężny, gruby kij sękaty, symbol władzy, stoi oparty o ścianę chaty, lub co gorsza, na postrach wszystkich zbrodniczych pokuszeń, czerwono obramowana „halina“ \*) wisi na froncie. W takim razie nie ulega niemal wątpliwości, że strażnik polowy, bystrooki Istók, odbywa w chacie swej siestę i przez ścian szpary widzi dobrze cały obraz gminy, jednym okiem zwrócony na wschód, drugim na zachód. Wówczas i zajęć nawet nie ośmieli się na swobodną po tych polach peregrynację.

Nie wyklucza się wszakże możebności, że to jest tylko podstęp haniebny. Wielce prawdopodobne, że ta halina i kij sękaty same trzymają straż nad polami, kiedy tymczasem ich właściciel, sławny Lapaj, całkiem gdzieindziej krąży; urzędowe pole jego działania bowiem jest bardzo rozległe, i niemało potrzeba rozumu, by dojść do takiej, jak on w urzędowaniu tem doskonałości, tak poznać wszelkie sztuki i sztuczki swego zawodu, wymagającego częstokroć mnożenia się w różnych miejscach.

Niełatwy to zaprawdę kawałek chleba; uczciwie on zapracowany. A kiedy wieśniak, w pocie czoła pracujący na słonecznym skwarze, z zazdrością ogląda na leżącego do góry brzuchem Lapaja, nie przychodzi mu na myśl pewnie, że tu tylko zmienionym jest porządek świata, i że ta noc, która dla innych ludzi jest porą wytchnienia, dla Lapaja jest chwilą pracy.

Urzędowe jego godziny poczynają się właśnie z wieczorem. Kiedy cała natura drzemie spokojnie, on czuwać musi. Pełna dziwnej jakiejś rzewności cisza zalega całą okolicę. Stare tatrzańskie szczyty spoglądają ponuro w noc ciemną błyszczącymi oczyma licznych pasterskich ogni; czarne chmury zwisły, jak gdy-

---

\*) Góralska guńka.

by chciały w płaszcz niewidzialny otulić złodziei; fale Garamu łagodnie pluskają tam hen w dolinie, zda się zachęcając do zdró-  
nych czynów: „Lapaj nic teraz nie widzi; plusk, plusk, plusk!  
Możecie kraść spokojnie!”

Ale mylą się fale, bo w taką ciemną noc właśnie Lapaj naj-  
lepiej widzi.

Siadł sobie na dworze przede drzwiami. Ogień zagasł pod-  
stępnie, bo ogień nie jest bynajmniej sprzymierzeńcem polowej  
policyi. Jego zdala widać przy tym blasku, on zaś nic za to nie  
widzi. Ogień toleruje on tylko w „zapietakacze”—(słowacka fa-  
jeczka); tam on na miejscu, niechaj się sobie para ze zwilgotnia-  
łym tytuniem, który się miesza z łodygami kartofli, boć to prze-  
cież myśl piękna taką bezużyteczną roślinę podnosić do godności  
„króla węgierskiego tytuniu.” A przytem tak smaczny! Co dym  
to dym zawsze! Lapaj poprzestaje na tem, sprawia mu to przy-  
jemność, i wzrok jego rozmarzony ściga kłębiące się koła, póki  
tylko są widoczne,—aż gdzieś w obłoki pobiegną, w daleką ni-  
cość... A rankiem będzie z nich rosa.

Ciszę przerywają tylko czasem niesione na skrzydłach wia-  
tru głosy kolegów jego we wsi — głosy psów i kogutów. Tamte  
strzegą wioski, on zaś pól. Lapaj zna je wszystkie doskonale,  
i można iść o zakład, że język ich rozumie dokładnie. To pewna  
bądź co bądź, że głos każdego z nich umie rozróżnić i zawsze wie  
na pewno, czy to „Wyskocz” Macieja Skwarki, czy też „Ulan”  
Marcina Liptáka zaszczekał. Również dobrze zna się na kogu-  
tach; w tym względzie dwudziestodwuletnie doświadczenie wy-  
robiło w nim talent doskonałego orientowania się w każdej go-  
dzinie nocy.

Pierwszy rozpoczyna zazwyczaj kogut organisty; ten o je-  
denastej już intonuje swą pieśń (a śpiewa lepiej, niż pan jegol)  
Może tak śpieszno mu dla tego, że jest najgłodniejszym z całej  
wsi i wyobraża sobie, że zwiastując północ o jedenastej, poranek  
tem przyśpieszy. Po nim zgłaszają się do głosu kochinchińskie  
koguty owdowiałej pani rządczyni,—akurat o wpół do dwunastej.



Najpunktualniej odzywa się kogut proboszcza; szanując przykazania, pieje o samej północy. I nie dziw, ma przecież wieżowy zegar przed oczyma i może widzieć dobrze na cyferblacie godzinę. Po kościelnym kogucie przychodzi cała rzesza laików, wrzeszczących na wszelkie tony, to wysokie, to niskie, to znów dysharmonijne. Lapaj, jak najdokładniej umie je rozróżnić, jakby z każdym z nich z osobna w najlepszej żył przyjaźni.

Umiejętność to dziedziczna, co idzie z pokolenia w pokolenie. Dziadek Lapaja był starszym owczarzem w Glinnej, a to w świecie owczarskim znaczy mniej więcej tyle, co w hierarchii społecznej żupan. Blask tej pozycji spada dziedzicznie z ojca na syna, a i wnuk grzeje się w jego promieniach jeszcze. Ojciec Lapaja zeszedł o stopień niżej; doprowadził zaledwie do prostego owczarza. Ale i on żył pośród wolnej natury, nauczył się poznawać jej tajemnice i przywyknął tak dalece do swych niewinnych współtowarzyszy, zwierząt, że raczej do nich już, niż do ludzi, liczyć go było można. Niezliczona moc owiec powierzona była jego opiece, zwierząt o jednostajnej, pozbawionej wszelkiego wyrazu fizyognomii, które nie odróżniają się od siebie, ani szczególniejszem zabarwieniem, ani różnorodnością kształtów czoła, ani jakimikolwiek cechami budowy, ani wreszcie charakterystycznym głosem. Zdają się one podobne do siebie, jak listki na jednym i tem samem źdźble koniczyzny. Chciałbym widzieć uczonego agronoma, któryby się tu zorientował, któryby umiał je rozróżnić! Ale owczarz zna je wszystkie, i oko jego dopatrzy znaków szczególnych, których nie przeczuwa nawet zwykły śmiertelnik. I nie dość, że każdą z osobna ze swych owiec rozpozna w pośród całej gromady, zna on jeszcze genealogię z nich każdej, wie kto była jej matka i babka. Uważałbym to za bajkę, gdybym się nie był o tem przekonał niezliczone razy.

Po dziadzie swym odziedziczył Lapaj ten bystry dar spostrzegawczy i niemałą stał wyciąga korzyść, jako polowy, choć los wytrącił go z arystokratycznej kolei owczarza. Wielkie to dla niego dziedzictwo, że przyroda jest mu matką, a najbliższymi

krewnymi zwierzęta. Te przedstawiają się takimi, jakimi są, poznasz je na pierwszy rzut oka, i nie tają przed tobą swych właściwości.

Koń żuje i plugawi ziele, gdzie go dopadnie; pies z prawdziwie filozoficznym spokojem jesienią krąży po ogrodach i niemałe wyrządza szkody pośród drogocennych owoców; woły i cielęta rzucają się na koniczynę, nie szukając sobie daleko smaczniejszego janowcu (ale od tego też są głupimi wołami); doświadczniejsza świnia ryje w ziemi i bez wszelkiego trudu dobija do celu, bo niedorzeczne kartofle na własną zgubę sterczą z ziemi guzowatemi łodygami.

Kiedy więc wobec zwierząt zawsze się wie, czem grożą, do czego popycha je instynkt, stokroć niebezpieczniejszy człowiek zbliża się tylko skrycie i z podstępą przewrotnością śledzi nieobecność Lapaja, wyyskuje sen jego lub mgłę jesienną, by sobie przywłaszczyć co mu wpadnie w oko. Jego nie można przeniknąć, bo przychodzi najczęściej w masce przyjaciela, życzy Lapajowi serdecznie dobrego wieczora, częstuje go tytuniem, lub pozwala napić się wódki ze swej flaszki. Lapaj nieledwie mógłby poprządzić, że go tu przywiodła życzliwość, a tu niezadługo robi odkrycie, że znikła mu gdzieś najpiękniejsza głowa kapusty, lub co gorsza, nawet olbrzymia dynia, duma pól, na której skórze pani pastorowa szpilką wypisała swe imię, poszła tą samą drogą.

I dziwże tu, że on nie lubi ludzi? Ma wszelkie do tego prawo, by im nie ufać i strzedz się wchodzenia w bliższe z nimi stosunki. Trudno mi pojąć niemal, jak i od kogo nauczył się mówić, a już całkiem nie pojmuje, że dotąd mowy ludzkiej nie zapomniał.

Bo i o czem miałby mówić, chociażby nawet miał kogoś takiego, z którymby mógł pogawędzić? Obcą dla niego jest radość, obcym smutek, stąd też nie czuje bynajmniej potrzeby przyoblekania w wyrazy swych myśli. Toż cała rasa słowacka z natury już jest chłodniejszą, nie tak namiętną, mniej wrażliwą od madiarskiej. I nie dziw. Chłodniejszy wydał ich klimat, słońce dla nich później wschodzi, zachodzi prędzej i o samem południu



nawet nie grzeje bardzo, jakby im skąpiło swych promieni. Przyroda zna ich dobrze, nie bierze im za złe ich chłodu i woli raczej zastosować się do ich usposobienia.

Owoce ich, orzechy włoskie i laskowe, zamyka w twardą łupinę, ziemię pokrywa kamieniami, by nigdy nie mogła rozpromienić się uśmiechem, nigdy naprawdę przywdziać szat świątecznych. Jasnego nawet, wesołego nieba daje im tylko skrawek maleńki, resztę zaś odgranicza ponurymi, ośnieżonymi gór szczytami. Wichry, burze trzyma przyroda w Tatrach na uwięzi, a kiedy je wypuści, lodowe ich technienie najpierwej owiewa Słowaków; wiosnę zsyła im w lecie, lato zatrzymuje dla siebie, a natomiast nasyła im na kark zimę wówczas, kiedy jej jeszcze nikomu nie potrzeba. Słowacy przyjmują wszystko, na wszystko się godzą, ze wszystkiego są zadowoleni; lud bo z nich cichy, cierpliwy.

Tę samowolę natury naśladuje wszystko. Kłos pszeniczny zaledwie o połowę wyrasta tak wysoko, jak wypieszczonym Alföldzkim stepie, i wydaje takie drobne, twarde ziarna, jak gdyby one same już nie chciały być czem innem, tylko otrębami; kapusta natomiast wystrzela w górę, zamiast pięknie zwijać się w głowy, i nie masz na całym świecie potęgi, któraby zdołała jej odjąć ten krzaczasty charakter; jabłonie i grusze dziczeją, a smak ich owoców przypomina temu, kto je pokosztuje, Syberyę.

Nawet poezya miłości, która u każdego ludu, czy to w górach, czy w dolinach taką rozbrzmiewa świeżością, która cały obszar świata jak ogień rozpłomienia, jak woń kwiatów odurza, u Słowaka jest dziwnie jakaś cierpka, bezbarwna, jemu właściwa.

Siedziałem przy swojej łubej, serca nasze bić poczęły, płonęły nam lica, jeszcze chwila, a zyskałbym pierwszy słodki pocałunek! Wtem zgasła mi fajka i zmuszony byłem odejść, by ją zapalić.“

A nie jest to bynajmniej wesoła, kapryśna piosenka, ale

pieśń smutna o dziwnie rzewnej nucie. Chłopak oplakuje z głęboką boleścią, że los okrutny swem wmieszaniem się pozbawił go tak blizkiej rozkoszy, gasząc mu „zapiekaczkę,“ bez której żadna szczęśliwość na ziemi zupełną być nie może.

Istok Lapaj gra na swej kobzie tę pieśń tak pięknie, tak przejmująco do głębi serca! A przecież sam nic przy tem nie czuje. Nie kochał nigdy i nikogo. Nigdy przez cały ciąg jego ziemskiego żywota żadna twarz dziewczyny nie wywarła na nim wrażenia. Nie może sobie przypomnieć, by mu kiedykolwiek silniej zabiło serce, (jeżeli je ma wogóle), by zdradziło kiedy swe istnienie; a przecież nie mało miałby do tego sposobności, boć to on na każdym pokaźniejszym weselu jest zawsze muzykantem. W wielu pięknych dziewczętach na sam dźwięk jego kobzy budzi się już do tańca ochota.

Gdzież on jednak nauczył się wszystkich tych melodyi, tych smutnych, słodkich, a żałośnych, miękkich jak włókno jedwabiste, porywających weselem pieśni, na których dźwięk słuchaczom serce z tęsknicy pęka; a nie pęka przecież, ale topnieje, jak wosk mięknie, i dziwne jakieś, czarodziejskie ryją się w niem uczucia... a potem topnieje jeszcze bardziej, to już nie wosk teraz, to miód płynący, od kobzy, zapożyczający słodczy i natychmiast znowu zamieniający się w gorycz, gdy Lapaj smutną potrąci strunę, jak gorzknie miód, gdy węń wpadnie kropla trucizny.

Kto był mistrzem tego syna przyrody, który z ludźmi nie przestaje wcale? Czyliż nauczycielem mu było własne serce? Nie. To serce obojętnem jest i zimnem. Góry i doliny patrzą nań milczące, jak on na nie patrzy, i one nie mogły go wykształcić. Publiczność?—głowy kapusty, ani łodygi kukurydzy nie mogły go zachęcić swym poklaskiem. Gdzież więc i od kogo wyuczył się tej sztuki wydzierania kobzie czarodziejskich tonów? Owczarek, który go, gdy był pacholciem wtajemniczył w umiejętność zażywania oryginalnego tego instrumentu, sam był partaczem; prócz niego zaś, jak daleko i szeroko naokół, nikt nie znał



tej sztuki. Hiksum mieszka w Nogrądzie u stóp gór, a Piotr gdzieś aż w Nitra.

I Istok też nigdy się z tych stron nie oddalał, z wyjątkiem chyba owego czasu, kiedy w latach młodych obierał sobie zawód; i jego wówczas pochwyliła gorączka narodowego powołania, polegającego na tem, by w walce ułomnych ciał fizycznych przeciw znikomości stawać po stronie słabego i za pomocą drucianego pancerza dopomagać mu do urągania losowi (prócz tej jednej słowacki ludek nie posiada żadnych innych zresztą buntowniczych skłonności); idąc za tem powołaniem, pognął Istok w świat szeroki, po upływie pół roku już jednak znudziło go to chwalebne zajęcie, rozciągające wielką ideę nieśmiertelności na bezduszne, nawet gliniane naczynia. Powrócił do domu i przyjął wakujący wówczas urząd polowego strażnika.

On sam nieczęsto wspomina o tej swojej podróży w dalekie strony, za to wielebny proboszcz, który jako prawowierny lutera-nin podówczas u przesławnego na świat cały pruskiego ludu gromadził tę rozległą wiedzę i mądrość, którą teraz co święto w drobnych dawkach swej gminie wydziela, opowiadał często, jak to, kiedy po dwuletniem oddaleniu od słodkich stron ojczystych rozmarzony kroczył ulicami Berlina, oko jego połyskające łzami radości spostrzegło nagle znajomą sobie osmoloną postać z rodzinnej wioski. Był to Lapaj, towarzysz jego zabaw dziecięcych, z wielkim zwojem drutu na ramieniu, przepasany szerokim pasem z mosiężną klamrą.

— To ty! Więc to ty rzeczywiście, kochany Istóku?—zawołał, rzucając się na szyję przybywającemu z ojczyzny druciarzowi. Toż być może, że ten kurz na jego chodakach, to kurz ziemi rodzinnej!

Lapaj obojętnie uwolnił się z tego uścisku.

— Co to ma być? To ja jestem, Istók, któżby inny? I cóż stąd?—I po tych słowach poszedł dalej spokojnie, nie okazując ani radości, ani zdziwienia, z powodu tego niespodziewanego spotkania.

— Lapaj! Lapaj! Czekajże! Możesz ty mnie nie poznać?

Wedle sprawozdania pastora, miał się Lapaj na to wołanie odwrócić i odpowiedział już zniecierpliwiony:

— Czego pan chcesz? Jesteś synem naszego proboszcza, „studentem.“ Może pan ma co do zdrutowania?

Ileć go jego wielebność opowiadał ów epizod (a zdarzało się to nierzadko!—Boże mój! tak niewiele zdarzeń bywa w górskiej wiosce), zwykł był dodawać uwagę, jak to mało delikatnych uczuć jest w słowackim ludzie. Niema w nim przywiązania do ojczyzny, a co się już Lapaja tyczy, ten w szczególności jest złym nawskróś, kawałkiem drewna po prostu, bez czucia, który na to chyba jest stworzony, aby w dziewiętnastym stuleciu o jeden pilśniowy z szerokimi kresami kapelusz spotrzebowywano więcej.

Niemniej przeto lubi on Lapaja. Zimą, kiedy przyroda mieszka poza zamkniętymi drzwiami, i Lapaj niema wówczas nic u niej do roboty, wtedy przeprowadza się do swego mieszkania w opustoszałym młynie poza wsią, który należy do kościoła. Pastor daje mu tę kwaterę, za co do wiosny czuwać musi nad młynem; las dostarcza mu zatrudnienia: wikliny do plecenia koszy i drzewa na łopaty i grabie.

Nudne to mieszkanie i niewdzięczne zajęcie! Rzadko tu przychodzą ludzie, tem częściej za to wilki. Co najwyżej jeśli w karnawał przybłąka się który z mieszkańców wioski, aby ugodzić się z dudziarzem, bo wesele ma mieć w domu. Niema na to długich układów. Sztuka Lapaja ma stałe swe ceny, od których nie utargować już się nie da. Ówieré funta tytuniu, nad wieczorem dzbanek borowiczki \*), około północy półkwartek krupniku, przytem jedzenia do woli i gotówką szesnaście krajcarów. Nie-mało to, ale też i niewiele, zwłaszcza jeśli zechcemy zestawić to z cenami innych kobziarzy. Takiego Niksuma na przykład, du-

\*) Wódka z jagód jałowcowych.



dziarza z Kékkö. Baron Balasza kazał go malować malarzowi, sprowadzonemu z Włoch, i ten portret jego z dudą w chodakach wisi w sali przyjęć barona między nadzupanami i innymi dostojnikami. Przytem za grę płacą mu złotem. Drugim takim sławnym kobziarzem jest Piotr, którego hrabia nitrzański zaopatruje we wszystko, i tak mu dobrze jest na świecie, że kąpie się w winie, je słoninę, a pije roztopione masło, które to rozkosze wyobrażnia Słowaków dotychczas tylko sprawiedliwym w zagrobowem życiu przyrzekała.

A Lapaj większym jest i sławniejszym od nich obu. On sam nie wie o tem, ale wiedzą wszyscy; pewnej nocy bowiem zdarzyło się, że obaj wielcy dudziarze, przygnani zazdrością przyszli zdaleka, w przebraniu odwiedzili Lapaję i za zwykłą cenę szesnastu krajcarów kazali mu coś sobie zagrać. Tym sposobem wyjść miało na jaw, czy w istocie jest on tak wielkim artystą, jak głosiła fama?

Lapaj zagrał im pieśń, najtęskniejszą z pomiędzy wszystkich górskich pieśni, taką rzewną, słodką, a tak pełną boleści i nieujętego żalu zarazem, że sam księżyc na niebie zatrzymuje się w swym biegu, by módz się przysłuchać, i przejęty rozkoszą, zapomina o dalszym pochodzie, że nawet fale prastarej rzeki przycichają, by swoim pluskiem jej nie przerywać.

„Osamotniona trzoda wśród gór się tuła,

Rozbiegło się z niej już niemało, pasterz w okowach,

Przyszli po niego sądowi siepacze...”

Niksum nie czekał nawet już końca tej pieśni, ale zawstydzony, uciekł gdzieś w świat i biegnie może po dziśdzień, jeśli się dotąd nie zmęczył; Piotr rozplakał się wielkim głosem, jak małe dziecko, a kiedy wrócił do swojej wioski, gdzie zostawił kobzę, wziął nóż i przeciął nim na dwoje instrument, który taką dał mu sławę, a przecież takiem wydał mu się marnem, bezużytecznem narzędziem, odkąd posłyszał Lapaję!

Przejęty goryczą, pytał wszystkich po kolei, od kogo Lapaj uczył się swej sztuki. I poprzysięgał, że choćby mu przyszło życie całe strawić na tem, choćby miał sobie nogi uchodzić po kolana, jeśli mistrz taki mieszka bodaj na kraju świata, on go wynajdzie i podpatrzy, jakim sposobem można zostać takim, jak Lapaj artystą. Ale wszelkie namysły i rozpytywania nie doprowadziły do niczego, nikt nie umiał nic mu w tej mierze powiedzieć pewnego. Nakoniec ogólne mniemanie w tem okazało się zgodnem, że czar cały w kobzie leżeć musi. Kobza ta była niegdyś ziemską powłoką owcy o czarnem runie. Żyli jeszcze ludzie, którzy ją pamiętali jagnięciem. W noc Św. Łucyi, kiedy to wiedźmy odprawiają swoje sabbaty, punkt o samej północy zjawilo się to czarniuteńkie jagniątko, żałośnie becząc, w trzodzie starego Lapaja. Ten podarował je swemu synkowi, głęboko przekonany, że i tak prawowity jego właściciel niezadługo po nie przyjdzie. Istók przywiązał się do kędzierzawego zwierzątka, bawił się z niem po całych godzinach, karmił je z dłoni i dawał mu lizać sól drogą. Z czasem stało się tak oswojonem i tak mądrym, że prócz braku mowy nie można mu było nic zarzucić. Istók dał mu nawet miano, co dla owcy nie miałym już jest zaszczytem. Nazywano je „dyabełkiem.“

Kiedy przecież w trzynaście lat po wielkiej cholerze, na odmiannę, kolej umierania przyszła na ród owczy, i „dyabełek“ uledez musiał nieprzepartej sile. Tyle wszakże zachował on wdzięczności dla swego pana, że tak, jak i inne, pozostawił Istókowi w puściźnie swoją skórę: niechaj sobie z niej zrobi, co mu się podoba! Istók zrobił z niej kobzę, wspaniałą, kunsztowną kobzę, której munsztuk był ze szczerzego srebra, a dolna część jeśli nie ze złota, to z pewnością przynajmniej z miedzi. Takiego instrumentu nie posiadał nawet król Dawid! Ilekroć Lapaj na nim zagra, staje przed nim natychmiast, jak na wezwanie duch „dyabełka“—między nami mówiąc bowiem, czarne jagnię w noc Św. Łucyi dla tego tylko przybłąkało się do trzody starego La-



paja, że była to zaklęta księżniczka, a że za życia Istók tak je pieścił i tak czule niem się opiekował, za to po śmierci podszeptuje mu wszystkie te tak rzewne, tak przejmujące pieśni, że od nich aż śnieg na Tatrzańskich szczytach w lutym już nawet topnieć poczyną. Nie należy być tak łatwowiernym, by sądzić, że to Lapaj wygrywa te melodeye. On dla pozorów tylko trzyma usta przy munsztuku, co najwyżej czasami zagrywa początek nuty, a potem przebiera tylko palcami po klapkach; reszta jest już sprawą „dyabelka.“

Wyobraźnia Piotra podrażnioną została w wysokim stopniu tą romantyczną opowieścią, i nie mógł już pozbyć się pożądania Lapajowej kobzy. Ale Lapaj ani chciał słuchać o sprzedaży, — jakkolwiek Piotr podrażniony tem, że Lapaj odmawiał ciągle, choć on coraz podwyższał ceny, za pośrednictwem żyda Eliasza, — przyrzekał wreszcie za kobzę sto talarów.

Ale i za tę cenę jej nie otrzymał. Lapaj rozśmiał się tylko. Na co jemu pieniądze? Ani rzemienia od swego chodaka, skoro już do niego przywyknął, nie oddałby za całe królestwo, a cóż dopiero skarb swój jedyny, kobzę! Daremnie tłumaczył mu Eljasz, że za pięćdziesiąt talarów (do tylu bowiem tylko przyznał się filut) trzy kobzy, co najpiękniejsze kupić sobie można, a i wtedy jeszcze zostanie mu tyle pieniędzy, że jeśli je rozpozyczy na procenta, może być większym od Rotszylda panem.

W siwiejącej wszakże czaszce Lapaja nie powstało nigdy pożądanie rozpozyczania pieniędzy na procent, lub zdystansowania Rotszylda. Gdybyż przynajmniej Eljasz był mu powiedział, że odtąd kartofle będzie sobie mógł piec przy ogniu z mahoniowego drzewa, że koszulę mieć może z szeleszczącego jedwabiu, że w klamrę pasa wprawić sobie będzie mógł karbunkuł, i że starszy owczarz z Brzeziny zdala już o dziewięć kroków zdejmować będzie przed nim kapelusz, wówczas może byłby pojął, jakie to wielkie korzyści wyniknąć dla niego mogą ze sprzedaży kobzy.

Słowem, ku wielkiemu utrapieniu Eliasza rozbił się cały handel, i rad nierad musiał on odprawić Piotra ze słabą tylko

nadzieją. Nateraz co prawda zupełnie jest niemożliwem dostanie kobzy (za pieniądze jej nie odda, a ukraść mu też nie sposób, bo za dnia wciąż się z nią nosi, nocą zaś kładzie ją pod głowę, zamiast poduszki). Niema potęgi na świecie, któraby mu teraz lub w przyszłości wydrzeć ją mogła, skoro bowiem teraz gardzi pieniędzmi i w przyszłości również będzie sobie dawał bez nich radę; na nieszczęście jeszcze: to nie pijak, z którym, kiedy spragnione gardło jest doradcą, łatwiej możnaby było pogadać. Ale Lapaj już człowiek niemłody, dziś lub jutro zemrze, a wtedy on, Elias, postara się dla niego o tę słynną kobzę, która zostanie się w spadku temu, który Lapaję pogrzebie. Jeżeli Piotr zatem zdecydowany jest dotrzymać słowa, to niech da zadatek i pozostawi mu swój adres, aby go w każdej chwili mógł zawiadomić.

Piotr przystał na to i pozostawił mu adres następujący: za wielkim lasem Brzezińskim stoi młyn zapadły, na lewo od niego otwiera się dolina zwana „Roczka“ Trzy ścieżyny wiodą przez nią; niech więc posłaniec pójdzie najodludniejszą, jak daleko sięgnie jego oko, aż do góry „Matika.“ Skoro tam dojdzie, niechaj się wdrapie na sam najwyższy szczyt góry i niechaj się rozejrzy dokoła; gdzie zobaczy największy ogień pasterski, tam będzie Piotr. Sto talarów dniem i nocą leżeć będą u niego w pogotowiu.

Nasz bohater nie wiedział nic o tym układzie, Elias bowiem był tak ostrożny, że nie powierzył go wiejskim językom. Lapaj nie wiedział nawet, że to Piotr i Niksum byli jego słuchaczami i gośćmi. Obojętnie włókł dalej dotychczasową swą egzystencję, czasami po całych dniach nie mówiąc ani słowa z żadną żywą duszą ludzką, a mimo to nie nudząc się nigdy, bo on i przyroda byli sobie wzajem przyjaciółmi. Bawili się z sobą wybornie! Czasami przygrywał sobie na kobzie tak, że uroczysta cisza, która spowijała góry i doliny, drgała dźwiękami jego pieśni, niby budzące się do życia serce. Żdźbła traw pochylały się ku sobie szeptem; zioła, kwiaty rozlewały woń jakąś czarowną, i tchnienie ziemi mieszało się do tej harmonii, jakby miłosne westchnienie; nie było go słyszać, ale czuć go było w powietrzu.



To znowu Lapaj siedział w milczeniu, podsłuchując tajemniczą mowę przyrody. Szum borów, plask rzeki, szept liści na drzewach, brzęk pszczoł, daleki śpiew zajętych w polu pracowników i zamierający dźwięk trąbit, wszystko to zlewało się w jeden akord potężny, tak piękny, tak czarowny i kołyszący do spokoju serce, że piękniejszego nadeń trudno już wymarzyć wyobraźnią, zasłyszeć uchem, oddać jakimś instrumentem.

Tego mistrza, który Lapaja doprowadził do owego stopnia doskonałości, Piotr nie potrzebowałby był szukać daleko. Wszędzie on jest obecnym. Trzeba umieć tylko z nim mówić i umieć go słuchać.

Nie uczysz nas wszystkiego *natura*, matka ziemia? Ziemia ma serce. Kto się do niej schyli i ucho przyłoży do ciemnej powłoki tej wspólnej wszystkich rodzicielki, słyszy w jej głębi tajemnicze uderzenia, niby jakiś głuchy stuk olbrzymiego młota gdzieś o sto mil w głębi jej łona; to uderzenia jej serca.

I ziemia myśli. Kwiaty są jej myślami. Bo i skądżeby inaczej w osamotniałej puszczy nagle jednego dnia wykwiwały tysiące i tysiące tysięcy kwiatów niewidzianych przedtem barw i kształtów, kwiatów, których żadna ludzka nie posiała ręka, których nasienia żaden ptak tu przynieść nie mógł? To jest poezya ziemi!

To nowe jej myśli!

A jeśli myśli, jeśli posiada serce, musi też czuć, musi umieć odczuwać ból i radość. W czasach wielkiej suszy powstają na jej skorupie szerokie szczeliny i wegetacya jej usycha, więdnije, jak dziecię u piersi chorej matki, kiedy natomiast w operlone rosą poranki cała ziemia jaśnieje radosnym uśmiechem.

A i cały jej świat roślinny, kwiaty, drzewa, trawy, wszystko to czuje, wszystko myśli i wszystko trzyma się jedną wielką spójnią, jedną wielką myślą miłości. Ziemia kocha swe rośliny, te znowu kochają promień słoneczny i obłoki!—Węgier bardzo słusznie powiada, kiedy mu zasiew schnie i marnieje: „Nie lubi tej ziemi;“ tej ziemi, której on przyznaje współczujące serce, kiedy

jej powierzając drogich swoich szczątki, mówi: „Niechaj im lekką będzie ziemia...” I w samej rzeczy jest im ona lekką.

Wszystko trzyma się, jednoczy miłością i przez miłość. I miałaby jeden tylko Lapaj nie czuć, nie myśleć, nie kochać? Jakże to byłoby możliwem? Czyż dla tego, że stare Tatry śnieg pokrywa i nagie ich szczyty zwiastują, że z tej ziemi łona nie wytryśnie ożywiającego ciepła siła, którby wykarmić mogła kwiaty i trawy,—czyż dla tego pewnikiem już jest, że gdzieś w ich wnętrznościach nie płonie ogień tajemniczy, co wybuchnąłby na świat gromami, gdyby tylko znalazł sobie ujście?

Blada lnicza, co rośnie niepielegnowana na górach, zdala podobna do starganych pasm siwych włosów, opowiada tylko o zimnych, ponurych regionach, ale i ona nie może powiedzieć, co tam jest w głębi.

Chmurna, ponura noc jesienna. Siekący wichur pędzi w twarz Lapajowi zimne krople deszczu. Ale mimo to, nie śpieszy on do swej chaty, tylko bacznie rozgląda się po okolicy; pogoda to, w której płody roli na największe wystawione są niebezpieczeństwo, bo każdy „porządny” złodziej taką psią słotę właśnie wybiera sobie za osłonę dla swych sztuczek. Czarna noc spowiła świat cały tak gęstym całunem, że ani sposób go poznać. W taką słotę polny strażnik mógłby najspokojniej włożyć oczy w kieszeń haliny; ucho przyjmuje na siebie całą czynność urzędową.

Nasłuchuje, uważa. Nigdzie najmniejszego szmeru. Tu i ówdzie tylko pęka głowa kapusty od zbytku deszczu, co strumieniami leje z niebios, albo przebiegający zając poruszy zcicha krzakami. A przecież polowy słyszy gdzieś zdala szmer jakiś, podobny do ludzkich kroków, zapadających w moczary i wydających ton taki, jak przeciekające krople wody z beczki.

Podąża w stronę tych kroków. Nie brak mu wprawy w dokładnem poznawaniu kierunku; ktoś idzie od strony chaty, stojącej nad rzeką. Istók uważa, że najrozważniej będzie skryć się poza krzak leszczyny, aby własnem stąpaniem nie odstraszyć



złodzieja, wpadającego w sieci. Boć kto inny, jeśli nie złodziej to być nie może? prócz niego w taką słotę poza dom waży się tylko jeszcze wyjść pies i polowy.

Smukła postać niewieścia przemyka się koło krzaku; oczy jej błyszcza w ciemności nawet, jak dwa świętojańskie robaczki; w około jej ciała owija się przemokła biała płachta; dwoma spadającymi końcami miota wichler. To zatrzymuje się jakby niepewna, to znowu poczyną uciekać; wiatr poza nią wybucha głośnym śmiechem.

Wiatr śmieje się głośno, a Lapaj kładzie w usta środkowy palec dłoni i na tej załprowizowanej świstawce wydaje gwizd przeraźliwy z taką siłą, że stare Tatry mogłyby wyobrazić sobie, iż to u stóp ich pędzi pociąg kuryerski.

— Stój! Stój! Ktoś ty? Co niesiesz?

Kobieta staje, z daleka wydawałoby się, że się waha, ale wnet opamiętała się i drżącym, miękkim głosem odpowiada:

— Siebie tylko! Nie więcej, tylko siebie!

A potem dodaje śpiesznie:

— Jeśli nie wierzycie, przeszukajcie mój fartuch i płachtę. Nic nie ukradłam, więc mnie puście.

Lapaj przystąpił bliżej i popatrzał badawczo z pod szerokiego ronda swego kapelusza, nie mógł jednak znaleźć nic podejrzanego.

— Pozwólcie mi iść dalej!—powtórzyła kobieta, a dziwnie bolesna gorycz dźwięczała w jej głosie; rozpostarła płachtę i wstrząsnęła nią gwałtownie.—Ja taką daleką mam przed sobą jeszcze drogę, taką daleką!

Cóż obchodziło Istóka, jak daleką była jej droga? Dla niego niechby sobie i wszyscy wywędrowali do Ameryki, byle tylko pola gminne na dawnym pozostały miejscu. Nie tracąc ani jednego słowa, zawraca się, by podążyć do chaty.

Teraz jednak kobieta zastępuje mu drogę niepewnym, wahającym się krokiem, kureczowo czepia się rękaw a jego haliny.

— Słoweczko jeszcze tylko, kochany, dobry Lapaju! Czy wiecie, kto ja jestem?

Polowy wstrząsa przecząco głową. Bo i pocóż miałby wiedzieć kto ona, skoro mu nic nie ukradła?

— No, to mi się przypatrzcie przecież!—mówi zdławionym głosem i drży przytem na całym ciele i szczęką zębami, białymi, jak alabaster.—O! przypatrzcie mi się, moim włosom, moim oczom, mojej bladej twarzy i opowiedźcie kiedyś jej niebodze, jakem ja wyglądała?...

Coś podobnego nie spotkało nigdy jeszcze starego Lapaja, żeby w taką noc ciemną młoda, piękna dziewczyna przytulała się do niego i oparta o jego ramię błagała:

— O, przypatrzcież mi się, przypatrzcie!

To coś dziwnego, fakt, o którym rozstrzygać nie podobna, nie zapaliwszy wprawdzie fajki. To też Lapaj nie odpowiedział od razu, ale zrobiwszy sobie pierwaj daszek z kapelusza nad fajką, by mu deszcz nie utrudniał zadania, napchał ją i powolnym rytmem wykrzesał ogień z krzesiwka. Z krzemienia posypały się obficie iskry, które i twarz kobiety oświeciły mu na chwilę. Nasz bohater na ten widok takim był przejęty zdziwieniem, że przez pomyłkę hubkę zamiast do fajki, wetknął sobie za pas; nie było to jednak tak niebezpieczne, jak się zdawać może, hubka bowiem miała wyrozumienie. Spozrzeglwszy, że w niewłaściwe dostała się miejsce, zgasła zwolna; to poczucie taktu pojąć łatwo, zważywszy jej pochodzenie, hubka ta bowiem, w kształty czapki przyobleczone, zdobiła niegdyś głowę wielbnego pastora.

I niechaj nikt się nie dziwi, że Lapaj nieco był zmieszany. Tak pięknej dziewczyny nie widział on jeszcze nigdy w swem życiu. Kruczy jej warkocz spadał rozpleciony na białą na ramiona narzuconą płachtę, blade rysy napiętnowane były gorzką boleścią, a na drgających wargach wilo się niedojrzane jakieś rozpaczne błaganie. Ubiór, zielona spódniczka i biały fartuch obsyty czerwoną frendzlą przylepiały się przemokłe do pięknych kształtów ciała.



Lapaj jednak nie był wrażliwym na takie rzeczy.

— Co to ma znaczyć?—spytał mrukliwie, zabierając się ponownie do wykrzesania ognia.—Co na tobie jest do oglądania? Idź sobie z Bogiem, a nie tykaj mi po drodze niczego! Nie bierz sobie dziesięciny z drzew morelowych w sadzie młodych państwa, bo tam każda sztuka owocu jest policzona!

— Młodych państwa?—zaśmiała się dziewczyna kurczowym bólu śmiechem.—Niech Bóg pokarze młodego pana na jawie i we śnie!

— Nie kuś Boga, dziewczyno!—mówi Lapaj.—To ci powie-dzieć mogę tylko, żei Bóg nawet trzyma z panami. I On jest takim samym tylko, jak ja polowym strażnikiem, w tym telko różnica, że ma większy obszar do strzeżenia. Ale też spełnia to uczciwie. Zostaw ty Go w spokoju! Idź sobie w swoją drogę!

— Idę już, idę! Niech was Bóg miłosierny błogosławił  
Chwiejną nogą postąpiła kilka kroków.

— Ale jej powiedźcie, jak ja wyglądałam.

Lapaj mimowolnie mruknął szorstkim swym głosem:

— Komuż u diabła mam to powiadać?

Dziewczyna słyszała go. Przystanęła na chwilę. Chciała już odpowiedzieć, nagle przecież jakby namysliwszy się inaczej, pobiegła pędem na wzgórek, u którego stóp szumiał nurt rzeki, i stamtąd krzyknęła przenikliwym, serce rozdzierającym głosem, który tysiącznem echem odbiły góry:

— Przebaczcie mi, com przeciw wam zawiniła! Com za-winiła...

Polowy przycisnął ogień w fajce i pomyślał w duchu:

— A więc jednak ta ladaco dziewczyna coś ukradła! I jesz-cze nie wstyd jej przyznawać mi się do tego! No, czekaj ty! Niechnoby raz jeszcze pokazała mi się na oczy!

Ponieważ tak uwłaczająca obraza urzędowej godności La-paja nader rzadkim była wyjątkiem, po raz pierwszy przeto w ży-ciu dała mu ona sposobność rozmyślenia o próżności i złośliwości kobiecego rodu. Jak to ona kazała się przypatrywać sobie!

O, ty próżne stworzenie! W ciemności jeszcze chce, żeby na nią patrzano. Doczekamy się chyba kiedyś, że one w nocy będą sobie wieszały latarnie na szyi, ażeby twarz ich wiecznie była oświecona, jak wskazówki na niektórych zegarach.

No, niech mi jeszcze raz tylko pokaże się na oczy!... Ale to nie stanie się już nigdy!

Wiatr przynosi mu krzyk straszny, na którego dźwięk krew człowiekowi krzepnie w żyłach, wzburzona rzeka rozbrzmiewa pluskiem, a zamykające się fale z głuchym i dzikim jękiem opowiadają, że tu jakieś smutne dzieje pogrzebane zostały na zawsze.

Lapaj zatrzymuje się zdrętwiały. Wie już, co się stało: dziewczyna rzuciła się do wody. Wyjmuje z zębów fajkę, zrywa z głowy szeroki kapelusz, kładzie go przed sobą na mokrej ziemi, klęka na nim, a potem zwrócony twarzą ku rzece, mówi ciche „Ojcie nasz,“ z uwagą by się nie pomylić.

I wiatr odwrócił się w tej chwili i teraz z jękiem skargi niesie na swych skrzydłach słowa modlitwy grobowi fal. Prosty to pogrzeb, ale Lapajowi on wystarcza. Przynajmniej biedna dziewczyna, którą przed chwilą pomawiał o kradzież, nie pójdzie przed tron Boga, jak poganka. Bo i na cóżby umarłej ziemskie przybory do podróży? Jej wystarczy ta modlitwa, którą on za nią posyła.

Czuje nawet pewne zadowolenie, że niewinność dziewczyny tak szybko na jaw wyszła. Nie boli go już przykrość, jakiej doznał przed chwilą, myśląc, że go znów ktoś podszedł może; jakkolwiek niejedno jeszcze niejasnem mu jest w tej sprawie. Istók złapał się na tem, że rozmyśla nad słowami dziewczyny, że je sobie przywodzi na pamięć. Mówiła, że ma przed sobą daleką drogę (to prawda!)... przeklęte młode państwo... (I to nietrudno pojąć!); ale co by on miał jej wybaczyć i komu miał powiedzieć, jak wyglądały usta jej i oczy,—to dla niego było zagadką.

Niedługo jednak łamał sobie nad tem głowę. Nie był bynajmniej zwolennikiem rozwiązywania zagadek. Wszystko jest dobrem tak, jak jest. Wszystko jest skazane na znikomość



i zatrąę: człowiek, halina, chata, fajka, nawet kobza... jeden tylko obszar gminny jest wieczystym. Zawsze tu był i wiecznie pozostanie na tem samem miejscu. Prawda, że rzeka jest tak wielkim potentatem, iż połom nawet urywać umie po kawałku, kiedy wiosną w czasie powodzi zabierze się do tego.

No, i rzeka też, nie kto inny zabrała z sobą piękną dziewczynę. Ha, trudno, tego już nie zmienić. Daremnieby kto żądać chciał jej zwrotu.

Przemokły do kości, doszedł wreszcie połowy do swej chaty, i raz jeszcze rozejrzawszy się dokoła po obszernem swem państwie i zapewniwszy się, że wszędy panuje uroczysta, uspokajająca cisza, wszedł wreszcie do budynku z prawdziwą rozkoszą z uwagi na spóźnioną porę i deszcz lejący strumieniami; chciał się przebrać, co u niego polegało na strząśnieniu z szerokich kres kapelusza i haliny ociekającej z nich wody i włożeniu haliny na wywrot.

Że na dworze była ciemność zupełna, w chacie przeto o jeden ton jeszcze musiało być ciemniej. Dla tego też na chybi trafi rzucił w któryś kąt kobzę i zabrał się do wyż opisanego przebrania: do tej to czynności nie potrzeba mu było ani lustra, ani nawet światła.

Tej halinie musimy dokładniej się przypatrzeć; był to zarażem bowiem klejnot rodowy. Przedarcie na kołnierzu przypominało Lapajowi dziadka, który przed stu blisko laty, odniósł je w czasie pamiętnej bójki w Kremnie, gdzie sześciu pasterzy rozpedziło pięćdziesięciu prostych chłopów (wówczas to ktoś tak niedelikatnie obszedł się ze święteczną, w kwiecie wieku będącą szatą, rozdarcie bowiem dochodzi aż do środka pleców). Dziura w okolicy kieszeni zjawiła się za czasów ojca Lapaja, a pochodziła od zębów myszy. Tłusta plama po lewej stronie wzięła się Bóg wie skąd, ale to pewna, że musiała być pamiątką jakiegoś familijnego zdarzenia; wielce prawdopodobnie nawet jest to zadatek pieszczot małżeńskich szanownej połowicy nieboszczyka Lapaja, która dla poparcia swej argumentacyi garnek szmalcu roz-

biła na mężowskich plecach. Zielona łąka pod pachą pochodzi ze świątecznej sukni matczynej, ta zaś wypukłość ponad kieszenie kryje po dziś dzień głęboką tajemnicę: jest tam zaszyta w noc świętego Jerzego znaleziona jaszczurka o dwóch ogonach, która posiadacza haliny strzeże przed wszelkiem złem i broni od pokus.

Pamiętkową tę szatę przeto Lapaj zdjął naprzód z siebie i strzepnął ją gwałtownie tak, że wszystko z niej błoto rozprysnęło się w różnych kierunkach, co byłoby nie tak znów wielkiem nieszczęściem, gdyby tylko nie wadziło nikomu.

Ta operacja jednak ze względu na później nastąpić mające zdarzenia, wypadła nader niefortunnie, w odpowiedzi bowiem na sprawiony nią hałas, z głębi chaty, gdzieś z kąta rozległ się donośny krzyk dziecka.

Lapaj przestraszony upuścił z rąk halinę, z ust wypadła mu fajka. Pierwszej nic się nie stało, druga natomiast świetnie przyświadczyła prawdziwości wyżej wymienionej teorii Lapaja o znikomości wszech rzeczy.

Czemże przecież było to nieszczęście i idąca za niem szkoda wobec jego zdumienia? Najpierw chciał uciekać, jak człowiek, który czuje, że traci rozum; kiedy jednak podniósł halinę i poczuł między jej wierzchem a podszewką zasuszoną jaszczurkę, wróciła znów odwaga. Z za pasa wyciągnął kawałek łojowej świeczki, zapalił ją z mozołem, bo ręce mu drżały, i dobra chwila minęła, nim zapalka spotkała się z knotem.

Kiedy wreszcie zrobiło się już jasno, olbrzymiej siły mężczyzna z tchórzowstwem dziecka popatrzał w ów kąt tajemniczy, skąd po ustaniu płaczliwych tonów dochodził go powolny równy oddech. Na posłaniu z trawy w kącie u tylnej ściany chaty leżało niemowlę. Szerokie, tłuste policzki maleństwa poruszały się, małe usteczka ściągały się, a rączęta wyjęte ze spowicia szukały czegoś w powietrzu i po poduszeczce w czerwone paski. Wielkie oczy z niejaką ciekawością wlepione były w Lapaję, kiedy tymczasem lży lub może krople deszczu, strząśnięte z guńki Lapaja, niby rosa na kwiatku połyskiwały na różowej twarzyczce.



Lapaj nigdy w swem życiu nie widział nic podobnego zblizka.

— Hm!—mruknął, wstrząsając głową, a potem dodał głośno: „Do stu fur beczek!...” i jeszcze mocniej potrząsnął głową. Może do dziś dnia robiłby to samo, gdyby mały gość powtórnie nie począł płakać. To odebrało Lapajowi przytomność do reszty.

— At, co mi tam! niech sobie berbec i ryczy nawet, ma do tego aż nadto powodów: matka jego płynie teraz z falami, a i on nie leży też w złotej kołysce.

Tak monologował nasz bohater i ze zwykłą sobie obojętnością układał się u wejścia chaty do snu. Ale sprzykrzyło mu się prędzej przysłuchiwanie, niż krzyk niemowlęcia, to więc nie sposób mu było postąpić inaczej, tylko wziąć dziecko na rękę, huścić go i mruczeć coś, co by je uspiło. Wiatr świszcział przez szpary ścian i drzwi, jakby się śmiał: „Haha! Mruk Lapaj kołysze dziecko!”

Ale małe lichy nie sobie nie robiło z huśtania i płakało jeszcze lepiej. Cierpliwość Lapaja poczyniała się wyczerpywać, wtem przyszło mu wczas jeszcze na myśl, że kto wie, czy dźwięk kobzy nie zatknie gęby małemu krzykaczowi. Począł więc wygrywać mu swe pieśni, coraz to piękniejszą, z taką ochotą i poddaniem, jak gdyby go z dziewięć wsi słuchało.

Drobnutkie stworzenie ucichło w samej rzeczy na czas jakiś i poczęło małą rączyną uderzać po twarzy Lapaja, przy czem ten zauważył, że rączki dziecka były jak lód zimne; wziął je tedy w wielkie swe dłonie i ogrzewać począł ust swych oddechem.

— Przeklęty bęben! Nie chciałbym przecież, żeby tu zmarznął.

Tymczasem poczęło już świtać, i dziecku uprzykrzyły się wreszcie dźwięki kobzy; płacz jego podobnym był do jesienno deszczu,—niepodobieństwem było doczekać się końca.

— Niech mnie dyabli porwaj, jeśli ja dam radę tej dziewusze! No, no, no... nie płacz ty, moja miła okruszyno!

Mrukliwy Lapaj nauczył się pieszczotliwych wyrazów.

— Caca! caca! moje złotko! Widzisz słoneczko, jak sobie

wschodzi? Słoneczko grzeczne, nie płacze... I ty płakać nie powinnaś! Aa! aa! lulul! Wujek Lapaj cię lubi, ale wtenczas tylko, kiedy nie płaczesz...

Ale wszelkie pieszczoty nie odnosiły skutku, i rzecz nadzwyczajna, Lapaj teraz na seryo począł sobie łamać głowę, czego potrzebaby dziecku, a dzięki swej mądrości wprędce to odgadł: dziecko było głodne.

I raz wpadłszy na drogę pomysłowości brnął już w niej dalej; zdala zobaczywszy, jak pastuch kóz wypędzał swą trzodę na pastwisko, powziął myśl szczęśliwą położenia dziecka i pogonienia za nim, a dogoniwszy go, sprowadzenia z trzodą do swej chaty.

— Słuchaj, Macieju,—rzekł do chłopca,—zostaw to tałajstwo tutaj, a sam biegnij coprędzej nazad do wsi i powiedz wójtowi, że stary Lapaj pięknie go pozdrawia i donosi, że w polu wszystko jest w porządku, nic nie ukradziono tej nocy, tylko mnie ktoś w chacie podrzucił niemowlę. Ponieważ dziecko jest żywe i zabić go się nie godzi, niechże tam wójt przyśle ze wsi jaką babę, któraby mi je dziś odebrała i wzięła do siebie na wychowanie. Śpiesz się! A na podwieczorek, żebyś mi był tu z odwrotem.

Pastuch bardzo chętnie podjął się misyi, widząc w tem zaszczyt dla siebie, że z tak ważną wieścią on pierwszy wieść całą obznajmi. Istók wydoił kozy i dał małemu podrzutkowi napić się mleka. Co prawda, było to zajęcie, połączone z niemałemi trudnościami, ale jemu wszystko to wydawało się teraz olbrzymią przyjemnością; co większa, kiedy uspokojoną dziecinę wyniósł na ciepłe słońce, i kiedy rozweselona poczęła się do niego uśmiechać, wtedy stary, szorstki stróż polowy poczuł, że odtąd już nie słońce, ale coś innego jakoś grzeje go z wewnątrz.

— Cóż to za zabawne małeństwo!

A potem, kiedy zabawne to małeństwo poczęło trzepać rączkami, jak skrzydełkami ptaszę, kiedy je rozpostarło i wzleciało niemi aż do szyi Lapaja, wtedy już mruk stary—chcecie, czy nie



chcecie wierzyć — nie mógł powstrzymać się ucałowania go w różowe policzki, które zaczerwieniły się jeszcze mocniej od tarcia szczerinowatej brody Lapaja.

Stary cenił to sobie bardzo wysoko, że się już nie rozplakało.

— Tak, moja duszyczko! Tak, taką lubi cię Lapaj, kiedy nie płaczesz! I owszem! Nieprawda, że i ty lubisz wujka Lapaja?

Niemowlę popatrzało mu w twarz swemi wielkimi rozumnymi oczętami, jak gdyby zrozumiało pytanie, a potem uśmiechnęło się słodkim uśmiechem dziecka. Na taki uśmiech dziecięcy składa się złoty, słoneczny promień, najpiękniejszy śpiew słowika, pierwszy uśmiech wiosny — wszystko to razem. Istók sam stał się dzieckiem dnia tego dla dogodzenia tamtemu dziecku; poniosł je do rzeki, aby się przysłuchiło pluskowi jej fal, powlókł je z sobą na najwyższy skał wierchołek, zrywał mu kwiatki w lesie i obrabowywał dla jego przyjemności ptasie gniazda na polach. Bawili się z sobą wybornie oboje. Wieczór nadszedł tak szybko, jak gdyby był tuż po południu.

O tej porze nadeszli ci, których już nie miał prawie ochoty się spodziewać. Chłopak po kozy, a po dziecko z wyższego rozkazu baba. Komu się wydać może, że to stało się nieco za późno, niech nie zapomina, że we wsiach górskich częstokroć na milę w okół rozciągają się przynależne do nich grunta.

Stara babina, akuszerka wioskowa, zdala już rozpoczęła rozmowę.

— Hola! mój synu, Lapajul! Hola, mój synul! Chodź-no tu z dzieckiem, abym mogła przekonać się, czyje to. W tem już moja rzecz. Dzień dobry wam, dzień dobry! Gdzież to jest ten mały świerszcz? Daj-no go tu, to cię od niego uwolnię. Spodziewam się, że mi nie poskąpisz i podarujesz z parę główek kapusty. Przyniosłam tu sobie już na to nawet worek.

— Dziecko śpi, — wymówił Lapaj i wskazał krzak głogu w oddali, — nie można go budzić teraz.

— Co? nie można go budzić? — zawrzeszczała babina: — cóż

ty sobie myślisz? Może mam czekać jeszcze, póki się nie obudzi? Aj, aj, mój synu, co też ty wyrabiasz z dzieciakiem! Czy to książkę, czy księżniczka?

— Dziewczyna, kumo, dziewczyna. Ale teraz na bok, nie pozwolę jej budzić. Zaledwie przed chwileczką usnęła.

— Co ci przychodzi do głowy, mój synu? Czyś oszalał? No, proszę, ślicznaby z ciebie była mamka! Więc nie wolno budzić dziecka? muszę czekać póki się nie obudzi? Cóż to za głupia gadanina? Stara Agnieszka nie ma czasu na stracenie. A i wiesz daleko przecież, północ będzie, nim dojdę do Glinnej. Bóg wie jeszcze, czy tam dojdę dziś nawet...

— Przynajmniej świat się nie skończy,—zaśmiał się Lapaj, któremu przyszło na myśl znane miejscowe przysłowie, twierdzące, że wówczas dopiero będzie koniec świata, kiedy wszyscy Glinianscy Słowacy razem się w swej wsi zbiorą.

— Nie kpij sobie ze starej, bo możesz tego kiedy jeszcze pożałować. Powiadasz, że masz sześćdziesiąt sześć lat! Cóż to jest, młokosie! Ja ciebie podawałam do chrztu przecież. Więc nie godzi się stroić ze mnie żartów, nie zatrzymuj mnie napróżno, bo gotowam ci oczy wydrapać.

I byłaby zapewne wykonała, co przyrzekła, gdyby dziecko nie położyło całej tej rozprawie końca, budząc się samo.

Lapaj wziął je z cienia krzaku i podał staruszce. Na twarzy jego był niemal wyraz bólu, kiedy to czynił.

Niemowlę poruszyło się niespokojnie na swej nowej siedzibie i poczęło płakać żałośnie. Wyciągnęło ku Lapajowi rączkę. Darło się do niego.

Ten nie mógł oprzeć się pokusie wzięcia go raz jeszcze na ręce. Nieszczęsna dziecina przestała płakać w tej chwili i przytuliła się silnie do piersi szorstkiego człowieka. Może wiedziała, czuła może, że stamtąd tryska ukryte gdzieś głęboko ciepło ożywcze. A kiedy stara kobieta chciała ją gwałtem od niego oderwać, dziecko z krzykiem chwyciło oburącz za szyję Lapaja.

Lapaj był wzruszony i nie mógł ani słowa wymówić, ręką



skinął tylko na Agnieszkę, aby nie dotykała dziecka. Na czole nabrzmiały mu żyły, serce biło głośno, i w oczach zaświeciła mu łza—łza...

Trzymając w objęciu lekki swój ciężar, utkwiał wzrok nieruchomy w niemej, czarnej ziemi, jak gdyby od tej skiby, która rzucone w nią pszeniczne ziarno pokrywa i wyżywia zasięgnąć chciał rady.

Przystąpił wreszcie do starej Agnieszki i rzekł, uderzając ją po ramieniu, głosem silnym, choć drżącym ze wzruszenia:

— Inaczej namyśliłem się już, matko...

— Jak to rozumiesz, mój synu?

— Tak, że nie powierzę wam dziecka. Bóg mi je dał; niech więc będzie mojem.

I z temi słowy odwrócił się od zdziwionej kobiety i wielkimi kroki podążył ku domowi.

Stanowcze słowo zostało wyrzeczone. Został ojcem. Ciemne chmury trosk ojcowskich okryły mu czoło. Słodkie troski, ciężkie troski. Słodkie dla bogaczy, ciężkie dla ubogiego.

Dotąd wszystko szło jako tako jeszcze, póki noc nie nadeszła, póki dziecko nie było głodne i nie ziębło. Ale co dalej? Lapaj był w rozpacz. Daremnie podawał dziecku zwykle swe potrawy, daremnie okrywał je swą haliną: tamte nie smakowały mu, ta nie ogrzewała go dostatecznie. Kozę i parę poduszek musiał sobie zdobyć za jakąbądź cenę.

Ale myśleć to łatwo, zdobyć trudno. Kozą i parą poduszek! Miłosierny Boże! Toć to cały majątek!

Aż do północy rozmyślał o tem na swem posłaniu. O północy zdecydował się na coś bolesnego dla niego strasznie.

Wziął dziewczynkę na ręce, kobzę na ramiona i biegł, po raz pierwszy w życiu zostawiając pola na łaskę bożą, niemal tak szybkimi i wielkimi kroki ku wiosce, jak owe śpieszące olbrzymy słowackich baśni, od wsi do wsi jeden krok ledwie dając.

O brzasku dnia zapukał wreszcie do okna żyda Eliasza. Ten zerwał się przestraszony.

— Kto tam? Każdy uczciwy człowiek śpi o tej porze... Czego chcecie?

— Otwórz, Eliaszu, to ja, Lapaj.

— Otwieram już, otwieram—ozwało się z wnętrza,—oczywiście otwieram! Aj, cóż to was sprowadza tak rano? No, proszę, i dziecko macie jeszcze? Odkądże to takie rośliny rosną na polu

— Nie pytaj teraz o nic, Eliaszu, nanieć tylko ognia na kominie i daj mi mleka. Ale śpiesz się!

Nieza długo płonął już w izbie wesoły ogień, a dziecko z rozkoszą piło mleko.

— Eliaszu!—odezwał się Lapaj ponurym głosem i uderzył zgiętym palcem w leżącą na stole kobzę: —Eliaszu, *ja ją sprzedaję*.

— Co sprzedajecie?

Lapaj nie wymówił bolesnego słowa

— Tę otl!—wymówił po chwili głuchym, zdławionym głosem.

— Co? Kobzę chcecie sprzedać? Teraz kiedy już ani pies, ani kot o nią się nie troszczy? Trzeba wam było kuć żelazo, póki było gorące, to znaczy wtedy, kiedy był na nią kupiec. Teraz możecie go sobie gonić, jeśli go dogonicie! Dziesięć centów to niewielka kwota, ale i to byłoby stracone, gdybym wam tyle chciał dać za te dudy!

Na twarzy Istóka odbiło się głębokie zgnębienie.

— Ha, myślałem, że ty ją kupisz ode mnie, Eliaszu,—wybąknął, nasuwając na czoło kapelusz.—Prócz niej nie mam nic więcej i zresztą sprzedałbym ci ją tanio.

— Tak? A cóżbyście za nią żądali?

— Dwie poduszki, piernat i...—zawahał się, jak gdyby jemu samemu zdawało się, że to już za wiele—i dojną kozę.

Chytra czerwona twarz Eliasza przybrała minę filantropijnej życzliwości.

— Wiecie co? Ja wam coś powiem. Ponieważ ja was szanuję i lubię, i ponieważ o tak ранней porze i żyd nawet nie ma wszystkich pięciu klepek w kupie, i ponieważ wczoraj ja się po-



klóciłem z moją żoną i teraz na złość jej chcę zmarnieć ze wszystkim, będziecie mieli czego żądacie. Dajcie rękę, dobijmy targu.

Żądane przedmioty znalazły się zaraz. Istók płakał, na zawsze żegnając się ze swą kobzą. We drzwiach raz jeszcze się zawrócił, aby zagrać na niej najulubieńsze swe pieśni.

Brzmiały one tak pięknie, jak nigdy do tej pory. Jak gdyby rzeczywista jakaś wieszczka wstąpiła w skórę „dyabełka.“ Na twarzyczce dzieciny krążył uśmiech, pełen radości.

Taki piękny, taki promienny i świeży był ten uśmiech, że Lapaj na jego widok nagle zapomniał o pieśni, kobzie, świecie całym, wziął dziecko na ręce, poduszki pod drugą pachę i swobodnie puścił słą ku lasowi.

Wspaniały to był jesienny poranek. Przez całą drogę dziecina gaworzyła mu jakieś niezrozumiałe rzeczy, które jednak Lapaja uszczęśliwiały niesłychanie; koza, biegnąca przodem, pobekiwała, jak gdyby poczuwała się do obowiązku odpowiadania dziecinie, on zaś słuchał obojga pełen zadowolenia, jakby rozumiał każde słowo, każdą zgłoskę tej rozmowy.

\* \* \*

Od dnia owego ubiegło lat wiele. Chata Lapaja stoi wciąż jeszcze na polach Glinnej. I halina także co wieczór wiesza się przed nią; tuż obok siedzi stary Lapaj i piękna wysmukła dziewczyna, której on strzeże, jak swej żrenicy.

Zwolna jeden za drugim poczynają rozniecać się dokoła ognie pasterskie na stokach starych Tatrów; odzwyczajona już od Lapajowej kobzy okolica pełną jest dźwięków rozgłoszonych pasterskich fletni, śpiewu i poezyi. Setki wyznań miłości, pełnych tęsknoty, rozlewają się dokoła w tonach, a wszystkie są zwrócone wyłącznie do cudnie pięknej dziewczicy, która wciąż jest takim jeszcze dzieckiem, że kocha tylko „drogiego ojczulka“ swego, starego Lapaja.

Może dla tego też tylko wszystkie fletnie dźwięczą taką tęsknotą, że ona tak jeszcze ciągle maleńka!

K O N I E C.

